LIPIEC 1930

# NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM III

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 10-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 49-04.

*TREŚĆ:*

# Z IDEOLOGJI KONSERWATYZMU.

Otwieramy ten dział w naszem wydawnictwie dla artykułów krótszych, mogących przyczynić się do wyjaśnienia i sprecyzowania ideologji zachowawczej z jakiegokolwiek punktu widzenia. Zaznaczamy przytem zgóry, że wyrażenia „konserwatyzm“ czy „zachowawczość“ nie uważamy za oddającego dokładnie to, co chce wyrazić — w dzisiejszych, nowoczesnych warunkach. Słowo to bowiem zawiera w brzmieniu swojem pewne pojęcie wstecznictwa, które zupełnie nie odpowiada dzisiejszej ideologji i tendencjom konserwatyzmu, a daje natomiast stronnictwom demokratycznym, a zwłaszcza radykalnym, ciągle pretekst do demagogicznego przedstawiania opinji publicznej konserwatystów, jako „wrogów ludu i postępu“. Skoro jednak wyrażenie to przyjęło się zdawien dawna, a nikt nie wymyślił dotąd innego, odpowiedniejszego, dlatego musimy używać go w dalszym ciągu, jako wyraz „utarty“.

## I.

W artykule p. t. „Polska szkoła konserwatywna“, zamieszczonym w pierwszym tomie „Naszej Przyszłości“, a poświęconym coprawda pewnym tylko, specjalnym zagadnieniom naszego dzisiejszego konserwatyzmu, brak mi określenia, co autor rozumie pod wyrazem „konserwatyzm“. Ponieważ — jak sądzę — „Nasza Przyszłość“ liczy na czytelników różnych obozów, wydaje mi się ściślejsze sformułowanie tego, co ten wyraz określa, dla wielu bardzo pożądanem. Nie mam wprawdzie prawa sformułować dla konserwatyzmu takiego określenia, któreby miało być przez wszystkich obowiązkowo przyjęte Pozwalam sobie jed-

nak wyrazić je według mego rozumienia, w nadziei, że w „Wolnej trybunie zachowawczej myśli państwowej“ znajdzie ono objektywny sąd, a może, gdyby się mylnem okazało, odpowiednie sprostowanie.

W mojem pojęciu rozumny konserwatyzm musi być z konieczności oparty na światopoglądzie teistycznym — to jest na uznaniu świata, jako stworzonego przez Boga i od Niego zależnego. Pojęcie to znajduje się — mniej lub więcej jasno — jako podkład wszelkiej religji, zarówno chrześcijańskiej, jak żydowskiej, mahometańskiej i wszelkich wyznań ludów azjatyckich. Logicznym wynikiem tych przekonań jest, że Bóg, stworzywszy człowieka, dał mu pewne prawa, oparte na jego naturze, a według pojęcia chrześcijańskiego, podnosząc go łaską Swoją do stanu nadprzyrodzonego, dał mu się poznać. To poznanie Boga i naszego do Niego stosunku, my — chrześcijanie — znajdujemy w księgach Starego i Nowego Zakonu, a katolicy w określeniach, danych na tem tle przez Kościół. Wobec tych określeń mamy ścisłe obowiązki, niezachwiane i trwałe, których przestrzeganie pozwalam sobie nazwać „konserwatyzmem absolutnym“ — nienaruszalnym.

Są jednak dziedziny, w których czyny ludzkie — nie mając takiego absolutnego nakazu — są w stosunku moralnej zależności od praw naturalnych, jakby wlanych przez Stworzyciela w naturę ludzką. W tych dziedzinach konserwatyzm — zdaje mi się — polega na tem, aby wszelkie zmiany poglądów były dostosowywane do praw naturalnych, aby były wywoływane przez istotne potrzeby, uzasadnione przez praktykę życiową. Teorje mogą i powinny być drogowskazem przy szukaniu prawdy, ale wprowadzenie ich w życie powinno być uzależnione od tego, aby praktyka życiowa je potwierdziła i do potrzeb czasu zastosowała.

Tak naprzykład: Zmiany stosunków własnościowych nie mogą podlegać tylko teorjom; rozdrobnienie własności ziemskiej, rozszerzenie jej stanu posiadania na większą ilość

właścicieli, zupełnie zgodne z prawem natury i konserwatywno-chrześcijańskim światopoglądem, powinny być jednak urzeczywistniane bez niszczenia egzystujących warsztatów pracy, chociaż one nie tworzą objektów absolutnie nienaruszalnych, podlegając prawom natury, które mają na względzie zarówno dobro jednostki, jak i społeczeństwa! Pogląd konserwatywny powinien dążyć do tego, aby ludzkość miała zasoby, potrzebne zarówno dla jej rozwoju duchowego, jak i materjalnego — a zatem dostateczne warsztaty pracy. Dlatego zmiany własnościowe nie powinny nosić cech przymusu i naruszania praw własności, a wprowadzać się raczej przez podkreślanie obowiązków, łącznych z własnością, oraz przez odpowiednie ułatwienia i zachęty ze strony władz państwowych czy organizacji prywatnych.

Ten sam pogląd chrześcijańsko-konserwatywny domaga się opieki nad stanem robotniczym, niedopuszczania do wyzysku, nadmiernej pracy małoletnich, kobiet i t. d., jak również i do tego, aby wskutek rozwoju maszynowej pracy i skupienia kapitałów w ręku nielicznych jednostek, były zabite rzemiosła i całe społeczeństwo doprowadzone do pauperyzacji i zależności od garstki multimiljonerów.

Z tego wynika, że rozumnie pojęta zachowawczość nie jest sprzeczną z pojęciem rozwoju i prawdziwego postępu; owszem, jest nader ważnym w nich czynnikiem normatywnym, broniącym od nierozważnych prób, opartych, najczęściej nieświadomie, na światopoglądzie, negującym zależność ludzkości od Boga, często negującym prawa natury i wszelkie obowiązki, wynikające z nadprzyrodzonego stanu człowieka, a prowadzącym przez tak zwany liberalizm do rezultatów socjalistyczno-komunistycznych i bolszewickich, w których istota ludzka traci swą wartość człowieczą — w rozumieniu chrześcijańskiem — zachowując wartość li tylko fizyczną i czasową.

Bez takiego oparcia zachowawczości na światopoglądzie religijnym i rozróżnienia między zachowawczością ab-

solutną a względną, staje się ona pojęciem mglistem, zależnem od osobistych poglądów ludzi o różnych usposobieniach, albo wyradza się w martwotę. Tylko w pojęciu, wyżej nakreślonem, nabiera konserwatyzm dopiero jasności i żywotnego, kierowniczego znaczenia.

**Arcybiskup Edward Ropp.**

## II.

Co to jest konserwatyzm? Konserwatyzm nie w naukowo-teoretycznem znaczeniu tego słowa, ale w praktycznem odbiciu codziennego życia, tak, jak go rozumie „człowiek z ulicy“ — że użyję angielskiego wyrażenia — a co w naszych warunkach niewyrobienia politycznego prędzej nazwaćby można: „człowiek z szeregu“.

Na to pierwsze pytanie „człowiek z szeregu“ odpowie zawsze:

Program konserwatywny, to program, który chce unikać wstrząsów, chce iść drogą ewolucji! Jest przeciwnikiem rewolucji, skądkolwiekby ona pochodziła.

Dlaczego konserwatysta jest przeciwnikiem rewolucji?

Bo każda rewolucja, nawet najowocniejsza w swych skutkach, okupywana jest zawsze niepomiernie dużem zniszczeniem dorobku kulturalnego. Zachowanie tego dorobku kulturalnego, przekazanie go następnym pokoleniom dla dalszego rozwoju, jest naczelnem zadaniem konserwatyzmu, bez względu na teren jego działalności. Czy to pod zwrotnikiem, czy to pod biegunem, zadanie to jest wspólne wszystkim konserwatystom.

Zachowawcom chodzi więc nie o zasadnicze zachowywanie tego czy innego państwowego ustroju, tych czy innych form socjalnych, ale chodzi im o to, by idąc po linji naturalnego rozwoju, zachować dotychczasowy dorobek kulturalny tak w dziedzinie duchowej, jak i materjalnej, nie

wydać go na łup zniszczenia, a przeciwnie, zabezpieczyć mu jaknajlepsze warunki dalszego, spokojnego rozwoju.

Konserwatysta jest zasadniczym przeciwnikiem rewolucji, skądkolwiekby ona pochodziła. To fakt, który musimy uważać za ustalony, musimy więc przedewszystkiem zastanowić się nad tem, co to jest rewolucja w zrozumieniu „człowieka z ulicy" i jakie są jej powody i przyczyny.

Rewolucja jest to wybuch, rozsadzający to naczynie, te ramy, w które ujęte było w danym momencie życie danego społeczeństwa tak pod względem państwowym, jak pod względem ustroju socjalnego. Stąd w ogólnym zarysie, uwzględniając, który z tych dwóch elementów przeważa, mamy zwykle do czynienia albo z rewolucją ustrojową, albo socjalną.

Tak, jak kocioł parowy wybucha tylko wówczas, gdy ciśnienie przekroczy granice, do których jego prężność była obliczona, tak samo dany ustrój pryska, gdy w większości społeczeństwa dojrzeje uczucie, iż nie jest on już zgodny z potrzebami życia, że jest przeżytkiem.

Żadna, najpotężniejsza nawet jednostka, żadna demagogja, żadna konspiracja nie byłaby w stanie wywołać faktycznej rewolucji, gdyby ta nie znajdowała odpowiedniego gruntu w nastrojach społeczeństwa. Historja stwierdza, że wszystkie rewolucje dojrzewały w społeczeństwach powoli i przez czas długi.

Demagogiczni ich chwilowi menerzy wykolejali je zwykle, czynili krwawemi i prowokowali nieraz czarną reakcję, ten nieunikniony, a wielce szkodliwy rezultat wszystkich rewolucji.

Jeżeli więc rewolucja jest rezultatem rozdźwięku, jaki się stwarza między danym ustrojem, czy to państwowym, czy to socjalnym a rzeczywistością, t. j. rzeczywistemi potrzebami danej chwili, to samą logiką faktów zadaniem konserwatyzmu jest unikanie tego rozdźwięku, niedopuszczanie do wybuchu, przez przeprowadzanie w porę zmian drogą

ewolucji, stawanie na czele akcji, propagującej dojrzałe reformy.

Ale co to jest reforma „dojrzała“?

Jest to, zdaniem naszem, ta, która jest korzystną w danym momencie dla całego ustroju, t. j. dla całego organizmu państwowego i społecznego.

Danej reformy nie można brać tylko z jej specyficznego punktu widzenia, t. j. teorji lub interesu specjalnego danej warstwy, czy to socjalnej czy gospodarczej. Trzeba ją rozpatrywać z punktu widzenia efektów na całość. Trzeba rozważyć jej pro i contra z ogólnego punktu widzenia, zbilansować plusy i minusy i wprowadzać ją dopiero wówczas, gdy się okaże, że plusy nietylko przeważają, ale że są i pozostaną trwałymi.

Reasumując, konserwatystą w rozumieniu „człowieka z szeregu“ jest ten, który jest przeciwnikiem rewolucji, gdyż rewolucja niszczy dorobek kulturalny, który rozumie, że najlepszym i jedynie trwałym sposobem zabezpieczenia się od niej jest kroczenie po drodze ewolucji na czele dojrzałych reform.

Konserwatyzm jest więc w ustroju społecznym tą klapą bezpieczeństwa, której przeznaczeniem jest czuwać nad całością i prawidłowym rozwojem danego państwa i narodu.

Konserwatyzm winien przeciwstawiać się każdemu radykalizmowi, tak z prawa, jak i z lewa.

W miarę tego, jakie elementa zaczynają w życiu państwowem przeważać, reakcyjne czy radykalne, konserwatysta, idąc stale po swej pośredniej linji ewolucyjnej, wydaje się być w danym momencie liberalnym lub reakcyjnym, pozostaje jednak zawsze samym sobą.

Konserwatysta, jako ten, którego zadaniem jest stale czuwać nad prawidłowym rozwojem życia państwowego i społecznego swego narodu, musi zadanie swe spełniać bez względu na to, jakie w danej chwili przeważają w ustroju tendencje, musi na sprawy patrzeć realnie i starać się zabez-

pieczyć sobie, choćby nieraz nawet tylko minimalny wpływ na nie, by choćby częściowo zadanie swe spełnić.

Często więc tak zwany przez ludzi nieświadomych lub politycznie nieuczciwych „oportunizm“ konserwatystów nie jest niczem innem, jak trwaniem na swem stanowisku, spełnianiem, choćby w niezmiernie ciężkich warunkach, swego obowiązku, zadawalaniem się nieraz nietyle plusami, ile zabezpieczeniem kraju od grożących mu minusów.

Konserwatysta nie może szukać sukcesów chwilowych, choćby najświetniejszych, ale trwałości i ciągłości swej akcji. Dlatego często zmuszony jest narażać się na niepopularność, a sprawiedliwego sądu i wdzięczności oczekiwać może tylko od historji.

**Józef Wielowieyski.**

## III.

Byłem raz, przed kilku laty, na zebraniu kilkunastu bardzo wybitnych przedstawicieli polskiego konserwatyzmu różnych odcieni. Dyskutowano — w swobodnej, prywatnej wymianie zdań — nad sprecyzowaniem pojęcia konserwatyzmu.

Milczałem i słuchałem. Kilkunastu było dyskutantów i kilkanaście różnych padło definicji. Wszystkie słusznie, ale żadna nie wystarczająca. Zebrani rozeszli się, nie znalazłszy dostatecznie ścisłego określenia.

Jedno z nich tylko, chociaż najogólniejsze i pozornie nic nie mówiące, utkwiło mi najlepiej w pamięci.

— Konserwatyzm — rzekł mówca — to pewien stan umysłu... i t. d. — reszty już nie pamiętam.

Tak, konserwatyzm to pewien specyficzny stan umysłu, który objawia się w całokształcie wyrażanych poglądów i czynów danej jednostki, ale którego istoty jakąś sztuczną, teoretyczną definicją niepodobna ująć dość ściśle i wyczerpująco. Łatwo natomiast rozpoznać prawdziwego kon-

serwatystę w życiu praktycznem i ostro go rozróżnić od demokraty.

Istnieje, mojem zdaniem, jeden tylko taki praktyczny sprawdzian, gdyż wszystkie inne mogą przy bliższem rozpatrzeniu okazać się zawodne. Nie jest nim usposobienie religijne, gdyż wielu, nawet radykalnych demokratów jest wierzących, a nie śmiałbym twierdzić tego o wszystkich, bez wyjątku, konserwatystach. Nie jest nim stosunek do „radykalizmu“, gdyż wielu firmowych demokratów wyznaje bardzo umiarkowane, nieraz wprost wsteczne zapatrywania, podczas gdy znam konserwatystów o przekonaniach bardzo radykalnych, niemal „wywrotowych“! Nie jest nim nawet zasadnicza obrona stanu posiadania warstw „posiadających“, gdyż wielu konserwatystów (zwłaszcza powojennych) nic nie posiada, oprócz mizernego miesięcznego uposażenia i ci wygłaszają nieraz zapatrywania, tchnące bardzo radykalnemi teorjami społecznemi (bo człowiek jest ostatecznie tylko człowiekiem!).

Jedynym praktycznym a nieomylnym sprawdzianem konserwatyzmu, który każdego prawdziwego konserwatystę odróżnia odrazu od demokraty lub krypto-demokraty, jest tylko następujący:

Konserwatysta idzie naprzód po stopniach murowanych, może zwolna, ale tak, aby każdy postawiony krok był istotnie krokiem naprzód, mającym silną podstawę i niegrożącym cofaniem się wstecz raz poraz wskutek niepewności schodów — podczas gdy demokrata pnie się lekkomyślnie po chwiejnej, trzeszczącej drabinie, która wprawdzie w teorji lub w razie szczęśliwego zbiegu warunków prędzej go na piętro wwiedzie, ale bądź co bądź grozi każdej chwili załamaniem się i upadkiem.

Dlatego postęp zachowawczy jest zawsze powolny, ale za to trwały, zdrowy i pewny, podczas gdy postęp demokratyczny jest z reguły lekkomyślny, zawadjacki, nieraz nawet absurdalnie nielogiczny i dlatego tak częstym ulega

załamaniom, cofaniu się wstecz i tak wielkie (a całkiem zbyteczne!) przynosi ze sobą często zniszczenie moralne i materjalne, tak wielką krzywdę wyrządza nawet tym warstwom społeczeństwa, na rzecz których wywiesza swe hasła.

Stąd też w życiu praktycznem, nie wdając się w głębokie teorje, uważam za konserwatystę tego, który idzie po schodach, a za demokratę tego, który wspina się po drabinie. I ta praktyczna definicja nigdy mnie jeszcze dotąd nie omyliła.

**Jan Bobrzyński.**

# NASZE ŻĄDANIA REFORMY USTROJU.

Nie chcemy przesądzać celów i zamiarów czynników, miarodajnych obecnie w państwie, które — objąwszy władzę — wzięły na siebie dpowiedzialność za naprawę ustroju, pod hasłem reformy konstytucji, zwłaszcza w kierunku ograniczenia wszechwładzy sejmu i wzmocnienia władzy wykonawczej. Nie chcemy niczemu, co w tym kierunku zmierza, przeszkadzać, przeciwnie — uważamy sobie za pierwszy obowiązek patrjotyczny poprzeć wszelkie wysiłki, mające na celu naprawę ustroju, choćby — zdaniem naszem — niedostateczne, zbyt powolne lub odchylające się nawet znacznie od naszego programu. Jako ludzie realni zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że upieranie się przy ideałach jest szkodliwą dla państwa fantazją i dlatego zasadniczo, z obowiązku, popieramy zdecydowanie i bez wahania rząd, czy system rządów, który daje nam perspektywę jakiejkolwiek, choćby drobnej naprawy rozpanoszonych w ustroju naszym demagogji i absurdu.

Niemniej jednak stwierdzić musimy, że — jakiekolwiek przyczyny, zapewne ważne, powodują już tak długoletnią zwłokę w podjęciu przez rządy obecne na serjo dzieła naprawy ustroju — zwłokę tę uważać musimy obecnie już w każdym razie za zbyteczną i w konsekwencjach swych szkodliwą.

— Das Bessere ist der Feind des Guten — powiedział Bismarck i — miał świętą rację! Rozumiemy — a przynajmniej pochlebiamy sobie, że rozumiemy — powody zwłoki, moralno-edukacyjne, polityczne i materjalne; rozumiemy, że natychmiastowe rozciągnięcie majowego zamachu stanu na gruntowną zmianę konstytucji było z pewnych względów niewskazanem, a może i niemożliwem; ro-

zumiemy, że sprawa celowej reformy konstytucji musiała przejść w umysłach społeczeństwa pewien „okres inkubacyjny“, że tak ważnych zmian nie można wprowadzać na łeb na szyję — ale twierdzimy teraz, że stanowczo dość tej zwłoki! Twierdzimy, że wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego są już zupełnie dojrzałe i „urobione“ do przyjęcia jakiejkolwiekbądź zmiany ustroju jakąkolwiekbądź drogą — byle zmiana była rozumna, korzystna dla ogółu, zdecydowana i na pewien dłuższy okres trwała. Niepodobna żyć stale w zawieszeniu i na tym stałym stanie „zawieszenia“ opierać rządów państwem.

To jedno. A druga sprawa, to kwestja niektórych zasadniczych wytycznych naprawy ustroju. Powtarzamy, że nie chcemy niczego psuć, ani niczego przesądzać, że zastosujemy się do wymagań realizmu politycznego. Ale wolno nam mieć swój własny, jasny i wyraźny pogląd na tę sprawę i pogląd ten oznajmić społeczeństwu i rządom w sposób zdecydowany. Nietylko wolno, ale jest to nawet naszym obowiązkiem. Mogą nie mieć takiego poglądu różne efemeryczne ugrupowania partyjno-wyborcze, których horyzont nie sięga poza szranki wiecowe. Ale świat zachowawczy jest nie do pomyślenia w jakichkolwiek warunkach bez jasnego programu, a obowiązkiem jego jest program ten przyjaciołom i przeciwnikom jasno i kategorycznie wypowiedzieć. Bez tego nie rozumiemy roli i celu myśli zachowawczej w państwie.

Stąd też nie dewualujemy chyba żadnej „tajemnicy stanu“ stwierdzając, że w obozie zachowawczym wzmaga się coraz intensywniejsza, wypróbowana codziennem doświadczeniem praca nad ustaleniem i dokładnem sprecyzowaniem norm naprawy konstytucji według naszego rozumienia. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy nie mieli głosować za jakimkolwiek innym, rozumnym projektem reformy, wysuniętym przez rząd lub blok sejmowy, w którym współpracują nasi przedstawiciele. Ale uważamy za niezbędne, aby — nieza-

leżnie od popierania przez nas tego czy innego oficjalnego projektu reformy — cały kraj wiedział, czego my sami chcemy i co zrobilibyśmy, gdyby od nas tylko przeprowadzenie reformy zależało.

Nie wchodzimy w drobiazgi. Zależy nam przecież na głównych, zasadniczych tezach, których realizacja mogłaby urzeczywistnić — w naszem pojęciu — starodawny postulat „Naprawy Rzeczypospolitej", oczywiście zmodernizowany odpowiednio do aktualnych potrzeb i warunków. Dlatego zamieszczamy poniżej uzgodniony z zapatrywaniami Redakcji elaborat prof. d-ra Hilarowicza, który zechciał swe przekonania w tym zakresie, oraz rezultaty naszych wzajemnych rozmów, ująć w szereg zasadniczych punktów, wzmocnionych jeszcze gdzieniegdzie przytoczeniem poglądów różnych postronnych fachowych autorytetów.

Niechże niniejsza nasza szkicowa rozprawa będzie awangardą obszerniejszych prac szczegółowych, w których fachowy świat prawniczo-zachowawczy ujmie zapewne niezadługo całokształt swych poglądów na sprawę reformy konstytucji i ordynacji wyborczej.

## PROBLEMY ZASADNICZE W SPRAWIE ZMIANY KONSTYTUCJI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Sprawa zmiany konstytucji Rzeczypospolitej, uważana słusznie od dłuższego już czasu za jeden z najważniejszych problemów i warunków naprawy naszego życia państwowego, posiada już tak ogromną literaturę naukową i propagandowo-publicystyczną, że może stanowić przedmiot osobnego, bardzo obszernego i szczegółowego studjum. Najwybitniejsi fachowcy i najwybitniejsze pióra w kraju wypowiedziały się już wielokrotnie w ostatnich latach w tym przedmiocie.

To też szkic niniejszy nie może mieć na celu wyczerpania, choćby tylko częściowego, tej kwestji. Zmierza on natomiast do przedstawienia w kilku rzutach tych problemów z dziedziny reformy ustroju, a zwłaszcza pożądanej zmiany konstytucji, które wydają nam się najbardziej zasadnicze, najbardziej decydujące o kierunku, w jakim pójśćby musiała — w logicznem następstwie — ewolucja naprawy naszych stosunków także w innych dziedzinach i bez których pozytywnego, zdecydowanego załatwienia w sensie, poniżej proponowanym, nie mamy przekonania, aby dzieło „naprawy Rzeczypospolitej“ mogło zyskać silne a trwałe podstawy.

## I.

## Veto ustawodawcze Prezydenta Rzeczypospolitej o charakterze niezbędnej sankcji.

Na pierwszy plan wysuwa się kwestja wzmocnienia władzy wykonawczej w państwie, przedewszystkiem przez rozszerzenie uprawnień Prezydenta Rzeczypospolitej, jako najwyższego przedstawiciela tej władzy.

Jeżeli się mówi o wzmocnieniu władzy wykonawczej wogóle, to może wchodzić tu w grę oczywiście cały szereg specjalnych dziedzin życia państwowego; może chodzić o możliwie daleko idące prawo działania władz administracyjnych wedle swobodnego ich uznania, o odpowiednie ujęcie przepisów postępowania administracyjnego na rzecz wzmocnienia uprawnień władz administracyjnych i t. d. Jeżeli jednak chodzi o kwestję zmiany konstytucji, to sprawa wzmocnienia uprawnień władzy wykonawczej w osobie jej najwyższego przedstawiciela, jakim jest Prezydent Rzeczypospolitej, przedstawia się dla nas przedewszystkiem jako

warunek przyznania mu stanowczego wpływu na treść ustawodawstwa.

Władza wykonawcza jest bowiem w treści przepisów prawnych w równej mierze zainteresowana z obywatelami, gdyż jeżeli przepisy prawne obowiązują obywateli, to władza jest tym czynnikiem, który przepisów przestrzega i je wykonywuje. Na stwierdzeniu tego faktu opieramy nasz postulat kategoryczny, aby Prezydentowi Rzeczypospolitej przyznać prawo „veta" i to o charakterze bezwzględnym, absolutnym, tak, aby veto Prezydenta uniemożliwiało dojście do skutku ustawy nietylko na pewien okres czasu, ale na stałe — oczywiście dopóki Prezydent swego poglądu ewentualnie nie zmieni.

Dotychczasowe różne projekty zmiany konstytucji wypowiadają się w kierunku przyznania Prezydentowi tylko veta zawieszającego projekt ustawy. Jesteśmy jednak zdania, że to zawieszające veto w tej formie, że ustawa, zwrócona na podstawie veta parlamentowi i ponownie przez niego odpowiednią większością uchwalona, nie może już uledz ponownemu sprzeciwowi Prezydenta, ale musi być przez niego podpisana i ogłoszona — jest tylko bardzo połowicznem załatwieniem sprawy, a nawet może stanowić moment dotkliwego obniżenia autorytetu Głowy państwa.

Ze względu na celowość usiłowań reformy konstytucji i dzieła „naprawy Rzeczypospolitej" wogóle jesteśmy stanowczo przeciwni formom ustrojowym i uprawnieniom połowicznym i „niedociągniętym". Jeżeli stanąłem na stanowisku, że najwyższemu przedstawicielowi władzy wykonawczej należy dać decydujący udział w ustawodawstwie, to konsekwencją tego stanowiska musi być postulat wprowadzenia do konstytucji pojęcia sankcji Prezydenta. Nie byłaby tu nawet właściwą nazwa „veta bezwzględnego", której użyliśmy powyżej raczej tylko prowizorycznie, dla przeciwstawienia jej pojęciu „veta zawieszającego". Trzeba natomiast nazwać to wprost i wyraźnie sankcją. Należy więc wprowadzić posta-

nowienie do konstytucji, że „ustawy są uchwalane przez Sejm i Senat i sankcjonowane przez Prezydenta Rzeczypospolitej“. A przytem, z ostrożności prawniczej, dodałbym w konstytucji postanowienie, że ewentualne niewykonywanie przez Prezydenta prawa odmówienia swej sankcji nie może być nigdy uważane za zwyczajowe uchylenie tego uprawnienia. Może niejednemu z prawników takie zastrzeżenie w konstytucji wydawać się zbędnem, niemniej jest wskazanem ze względu na dosyć rozpowszechnione poglądy o „zwyczajach konstytucyjnych“, o „prawie zwyczajowem“ w dziedzinie prawa publicznego i t. d. Mojem zdaniem niewykonywanie uprawnień przez władzę jest tylko zwyczajem, od którego zawsze można odstąpić i wrócić do ścisłego zastosowania ustawy, gdyż dzisiaj — wobec prawa pozytywnego i pisanego — prawa zwyczajowego w prawie publicznem uznać nie mogę; a przecież „zwyczaj“ nie jest nawet „prawem zwyczajowem“. Dlatego powyższy dodatek jest usprawiedliwiony względami ostrożności prawniczej, koniecznej zwłaszcza w naszych stosunkach.

Wspomniałem wyżej, że veto tylko zawieszające mogłoby nawet doprowadzić do obniżenia autorytetu Głowy Państwa. Jest to już moment polityczny, a nie ściśle prawniczy. Trzeba się jednak liczyć z tem, że w naszych specyficznych stosunkach, przy ogólnej tendencji naszego społeczeństwa do ujmowania wypadków życia publicznego z punktu widzenia zadrażnień natury osobistej (czy partyjnej), ponowne uchwalanie ustawy, odroczonej przez Prezydenta w formie „veta zawieszającego“, uważane będzie za demonstrację przeciwko woli Prezydenta i mogłoby spowodować przesilenia na stanowisku Głowy Państwa lub rozwiązywanie Sejmu i Senatu i „odwoływanie się do narodu“ w formie zarządzenia nowych wyborów. Aby uniknąć tych konsekwencji, wielce niepożądanych i mogących praktycznie paraliżować postulat wzmocnienia władzy Prezydenta i pożądanego unormowania stosunku między władzą ustawodawczą a wykonawczą, żądamy przyznania Prezyden-

towi wyżej określonego prawa sankcji, które stanowi formę wzmocnienia jego władzy jasną, wyraźną i konsekwentną.

Prof. M. Rostworowski w swej odpowiedzi na Kwestjonarjusz w sprawie rewizji Konstytucji Polskiej (Zbiór materjałów. Ankieta Stałej Delegacji zrzeszeń i instytucji prawniczych, Warszawa 1929, str. 74), mianowicie na pytanie: „Czy Prezydentowi winno przysługiwać prawo veta ustawodawczego i w jakiej formie?" — odpowiada:

„Nie uważam za możliwe odmówienie Naczelnikowi Państwa głosu równie stanowczego, jak go posiada Sejm dwuizbowy.

„Każda z dwuch izb sejmowych realizuje życzenia, aspiracje, postulaty, idące z narodu. O wykonalności powziętych uchwał decyduje Egzekutywa. Z zespolenia tych dwuch czynników powstaje dopiero formalna wola narodu. Naczelnik państwa nie potrzebuje więc nawet mieć wyraźnie sobie przyznanego prawa veta. Podpisuje ustawy i każe je ogłosić. Ale może nie podpisać i nie kazać ogłosić! Może wyraźnie odmówić i zwrócić izbie nowy projekt w formie zmienionej. Izby winny przy debatach ustawodawczych najskrupulatniej liczyć się z oświadczeniami rządu, aby nie narazić projektu ustawy na upadek w ostatniem stadjum. Konstytucja winna conajwięcej oznaczyć termin dla uchwalonego projektu ustawy, po upływie którego projekt, gdyby nie został ogłoszony, uważa się za upadły".

Z tego wynika, że prof. Rostworowski jest zwolennikiem veta bezwzględnego, ale nie uważa za konieczne wyraźne przyznanie go Prezydentowi, zadowalając się pośredniem określeniem. Mojem zdaniem należy je w konstytucji wyraźnie określić — i to wprost w formie sankcji Prezydenta — gdyż wszelkie niejasności i niedomówienia w takiej pierwszorzędnej sprawie byłyby tylko źródłem sporów i wątpliwości w praktyce.

## II.

### Całkowite równouprawnienie Senatu z Sejmem.

Ta sprawa wydaje nam się postulatem prostej logiki. Jeżeli nasz parlament jest dwuizbowy, to niema żadnej przyczyny, dla której uprawnienia Senatu miałyby być mniejsze, niż uprawnienia Sejmu. Słusznie podniósł p. K. Głębocki (Odpowiedź na ankietę w sprawie rewizji Konstytucji. Zbiór materjałów, dotyczących zmian i uzupełnień Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Ankieta, przeprowadzona z inicjatywy Prezydjum Stałej Delegacji zrzeszeń i instytucji prawniczych R. P., Warszawa 1929, str. 23), że Senat w tej formie, w której obecnie istnieje, jest kompromisem między zwolennikami dwuizbowości, obstającymi za jego istnieniem, a stronnikami jednoizbowości, którzy, nie mogąc przeprowadzić tej tezy, usiłowali ograniczyć rolę Senatu do minimum i uczynić zeń ciało niewiele znaczące — i że Senat powinien mieć prawa równe Sejmowi. W szczególności ustawy i uchwały Sejmu powinnyby mieć moc tylko po uchwaleniu ich również w Senacie, a podobnie ze zrównania praw Sejmu i Senatu wynika konieczność nadania Senatowi prawa inicjatywy ustawodawczej.

W silnych słowach podkreśla konieczność tego równouprawnienia także prof. Maliniak *), który, po omówieniu kwestji reformy składu Senatu, pisze co następuje: „Ponieważ nie ulega żadnej kwestji, że Senat, obrany nie przez ignorantów, podbechtywanych przez partyjników i demagogów i nieskładający się, w swej znacznej części, z ignorantów, partyjników i demagogów, w niczem nie będzie ustępować izbie poselskiej, jasne jest przeto, że powinien mieć pełnię praw, conajmniej równą kompetencjom izby poselskiej“.

---

*) Konieczność zmiany Konstytucji marcowej. Odbitka z „Ruchu prawniczego, ekonomicznego i socjologicznego“, zeszyt II z r. 1930. Poznań.

Podkreśla ten moment również prof. S. Glaser, w odpowiedzi na ankietę w sprawie zmian i uzupełnień w konstytucji R. P. (Zbiór materjałów. Ankieta j. w.), zaznaczając, że co do kompetencji Senat winien być podniesiony do równouprawnienia z izbą drugą, dzielącą równomiernie z Sejmem stanowisko ciała prawodawczego i politycznego; w miejsce dwuizbowości nominalnej, powinna wstąpić dwuizbowość faktyczna. Dodaje, że „po tej reformie można się spodziewać, że Senat stanie się tem, czem być powinien — dopełnieniem izby poselskiej — i że będzie mógł stwarzać z nią razem całkowitą i zupełną reprezentację. Równorzędne uprawnienia w dziedzinie ustawodawstwa wpłyną niezawodnie dodatnio na wartość ustaw. W szczególności korzystną wydaje się tutaj rzeczą możliwość rozpatrzenia projektów ustaw z różnych nieraz punktów widzenia, stosownie do odmiennej fizjonomji politycznej obu izb“.

## III.

## System głosowania na kandydatów indywidualnych w okręgach jednomandatowych *).

Prawo wyborcze do Sejmu i Senatu normuje ordynacja wyborcza, znajdująca się poza ustawą konstytucyjną. Jednakowoż w samej konstytucji są już zawarte podstawy

---

*) Sprawa ewentualnej dwumandatowości w okręgach narodowościowo mieszanych jest kwestją dyskusji. W każdym razie jednomandatowość takich okręgów nie uważamy za zasadniczo niebezpieczną dla polskości, skoro głosowanie na kandydatury indywidualne wprowadzi samo przez się większą odpowiedzialność posłów wobec swych wyborców, niż to ma miejsce przy dotychczasowem głosowaniu na listy. Należy tylko tę odpowiedzialność posła wobec wyborców wzmocnić przez odpowiednią modyfikacją dotychczasowej, nazbyt idealnej a zarazem demagogicznej tezy. że każdy poseł jest przedstawicielem całego kraju. Takim bowiem przdstawicielem jest oczywiście cały sejm, a poseł nie tracąc z oczu interesu ogólno-państwowego — powinien być (i jest!) reprezentantem przedewszystkiem swego okręgu. Przyp. Red.

prawa wyborczego, na których ordynacja się opiera. Jeko postulat, wysuwamy tu konieczność zmiany systemu proporcjonalnego na system jednomandatowy z głosowaniem na kandydatów indywidualnych, w miejsce dotychczasowego głosowania na listy. Postulat ten stosujemy do obu izb, z zastrzeżeniem, że skład Senatu ma być normowany częściowo także innym systemem (p. niżej).

Słusznie pisze K. Głębocki w swojej odpowiedzi na ankietę w sprawie rewizji konstytucji (Zbiór materjałów i t. d. — j. w. — str. 22): „...zasada stosunkowości (proporcjonalności) wywołuje w praktyce wiele niedomagań życia parlamentarnego, jak np. małe ugrupowania partyjne, wielka liczba partji i t. d. Tym niedomaganiom zapobiegłoby oparcie wyborów na okręgach jednomandatowych, względnie dwumandatowych. Wprowadzenie głosowania na osoby, a nie na listy, byłoby środkiem do podniesienia poziomu Sejmu i dałoby rękojmię, że do Sejmu wejdą osobistości najwybitniejsze, które się już odznaczyły swą działalnością w danej okolicy. System ten obaliłby partyjnictwo z jego wszelkiemi wadami".

Nie ulega wątpliwości, że system głosowania na listy, który wychodzi na to, że wyborcy operują myślowo jedynie numerami odnośnych list, a walka wyborcza przedstawia się jako rodzaj walki między „numerami", doprowadził do prawie zupełnego zatarcia pojęcia indywidualności kandydatów, stających w szrankach wyborczych. Zdaję sobie w całej pełni sprawę z tego, że każde porównanie kuleje, ale nie mogę się powstrzymać od narzucającego się tutaj porównania, że między dzisiejszą walką numerów list wyborczych a walką indywidualności kandydatów jest mniej więcej taki stosunek, jak między wojną gazową a walką rycerzy średniowiecznych w osobistem starciu. Pierwszy system prowadzenia wojny stał się może techniczną koniecznością, ale nikt nie zaprzeczy, że walka rycerska, w której decydowała osobista przewaga, miała w sobie moment znacznie podnioślejszy i szlachetniejszy. Podobnie też przy walce wybor-

czej kandydatów indywidualnych — gdzie oczywiście nie chodzi o przewagę fizyczną, ale o przewagę wartości duchowych — niewątpliwie mamy do czynienia z tą emulacją wartości osobistej, która zupełnie zanika przy głosowaniu na listy.

Nie o to jednak tylko tutaj w zasadzie chodzi. Jeżeli zwróciliśmy uwagę na to, że kandydatury indywidualne przy wyborach mają z ideowego punktu widzenia wyższość nad głosowaniem na listy, to uczyniliśmy to przedewszystkiem dlatego, że poszanowanie indywidualności i wszystko to, co wartość tej indywidualności w granicach legalnego porządku prawnego podkreśla, leży na linji poglądów zachowawczych. Ale takie głosowanie na kandydatów indywidualnych odpowiada też niewątpliwie więcej woli wyborców, niż system list. Jeżeli chcemy na serjo, aby przedstawicielstwo parlamentarne było wyrazem istotnej „woli ludu", który je wybiera, to powinniśmy dać wyborcom możność głosowania na podstawie znajomości kandydatów, jako osób fizycznych i wyboru pomiędzy nimi, nie zaś krępować myśl i wolę wyborcy jakimś numerem listy, który wartość indywidualną kandydatów w opinji wyborcy zaciera i wykonanie prawa „woli ludu" w zakresie składu ciał ustawodawczych faktycznie uniemożliwia.

## IV.

## Reforma składu Senatu.

O ile chodzi o tę reformę, to przedewszystkiem wielką wagę kładziemy na wprowadzenie do jego składu t. zw. wirylistów. Nie może być oczywiście mowy o członkach dziedzicznych, głowach rodów, na wzór np. dawnej austrjackiej Izby Panów, czy Izby Lordów. Mamy natomiast na myśli jako wirylistów tych, którzy wchodziliby do Senatu na mocy piastowanych wysokich godności duchownych

oraz w życiu gospodarczem i naukowem narodu: a więc przedstawiciele episkopatu katolickiego i innych wyznań, prezes Akademji Umiejętności, rektorowie uniwersytetów, politechnik i innych szkół akademickich, oraz prezesi izb gospodarczych. O ile chodzi o rektorów szkół akademickich, to uczynienie wirylistami w Senacie wszystkich rektorów zapewniłoby stały w nim udział przedstawicieli nauki i wiedzy fachowej różnych dziedzin, jakie reprezentują szkoły wyższe. Co do episkopatu katolickiego, to może trudno byłoby mówić o uczynieniu wirylistami wszystkich jego przedstawicieli, gdyż liczba wirylistów nie może być w danych warunkach zbyt wielką; ale możnaby postanowić, że w każdym razie zasiadać będą stale w Senacie prymas Polski i inni arcybiskupi. Podobnie też co do przedstawicieli innych, liczniejszych wyznań (prawosławnego, ewangelickiego i mojżeszowego) — oczywiście w ilości znacznie mniejszej od przedstawicieli wyznania katolickiego; możnaby uznać za wirylistów np. naczelnych, oficjalnych kierowników odnośnych wyznań, względnie zastosować pewien turnus. Podobny system turnusu należałoby zastosować także do prezesów Izb gospodarczych. Nie mogą być przecież wirylistami wszyscy prezesi izb przemysłowo-handlowych, rolniczych, rzemieślniczych. Stale mogliby nimi być prezesi izb stołecznych, a do izb prowincjonalnych należałoby wprowadzić turnus. Do wirylistów należałoby wreszcie zaliczyć prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej, jak również przewodniczącego stołecznej Nacz. Rady Adwokackiej, ewentualnie przedstawicieli innych jeszcze publiczno-prawnych organizacji.

Zaznaczam, że z rozmysłem proponuję w tym punkcie przyznanie charakteru wirylistów prezesom odnośnych korporacji publiczno-prawnych, stale lub w formie turnusu. Nie jestem za systemem wybierania przez te korporacje ad hoc swoich przedstawicieli do Senatu. Prawda, że za tym ostatnim systemem przemawiałby wzgląd na to, że nie zawsze osoby, które piastują godność naczelną w danej korporacji

publiczno-prawnej, posiadają zarazem i ochotę i specjalne uzdolnienie do pracy na terenie parlamentarnym (np. wobec wybierania rektorów szkół akademickich po kolei z różnych wydziałów, może być rektorem uczony badacz, okazujący nawet wprost niechęć do zabierającej mu czas pracy parlamentarnej), wobec czego system wybierania specjalnego przedstawicielstwa do Senatu przez daną korporację publiczno-prawną umożliwiałby jej wybranie osoby najodpowiedniejszej do tej funkcji. Jednakowoż obawiam się, że wybieranie przez te korporacje specjalnych przedstawicieli do Senatu mogłoby w ich życie wewnętrzne wprowadzić moment walki politycznej, bardzo niepożądany. Dlatego też wolę już system, przy którym uznaje się za wirylistów odnośnych rektorów czy prezesów, przyczem nie obawiałbym się tutaj tego, żeby przy wyborze rektora uniwersytetu lub prezesa izby gospodarczej odgrywał znaczniejszą rolę wzgląd na okoliczność, że będzie on na podstawie tej godności członkiem Senatu.

Pewną część członków Senatu, nie większą jednak od jednej czwartej (rzecz do dyskusji), proponowałbym pozostawić nominacji przez Prezydenta Rzeczypospolitej, z pomiędzy osób, zasłużonych dla państwa, nauki, sztuki i t. d. Nominacja taka powinna mieć charakter dożywotni, gdyż to zapewniałoby senatorom-nominatom niezależność w wykonywaniu ich funkcji. Prof. W. Maliniak (Konieczność zmiany Konstytucji marcowej, j. w.) podnosi wielkie znaczenie nominatów w Senacie, zaznaczając, że na znaczne podniesienie kwalifikacji rzeczowych Senatu wpłynąć może ustanowienie senatorów z mianowania Prezydenta. Przemawiają za tem, między innemi, okoliczności następujące: 1) Tylko z nominacji łatwo znaleźć się mogą w parlamencie jednostki o znanych i uznanych kwalifikacjach, które nie mają ochoty ani potrzeby kaptowania sobie benewolencji wyborców. 2) Tylko istnienie możności wpływania na skład ciał parlamentarnych przez mianowanie daje możliwość względnie łatwego kształtowania ich składu zgodnie

z wielkiemi zadaniami, którym przypadkowe i partyjne większości sprostać nie potrafią (przykłady angielskie: reforma wyborcza z r. 1832 i reforma Izby Lordów z r. 1911). 3) Nominacje, dokonywane przez Głowę Państwa, są nieraz jedyną formą, mogącą zagwarantować rzeczowość.

Z prawników polskich moment dożywotności nominatów akceptuje prof. Peretiatkowicz (Zbiór materjałów. Ankieta j. w., str. 67), zaznaczając, że jedna trzecia członków Senatu powinna być powołana dożywotnio przez Prezydenta Rzeczypospolitej z grona osób, zasłużonych na polu życia społeczno-państwowego, gospodarczego i kulturalnego. Istnieje też oczywiście i pewien poważny argument przeciwko dożywotności nominacji senatorów, a mianowicie obawa zbytniego skostnienia części Senatu, wobec czego wydawałoby się bardziej wskazanem mianowanie ich na okres, na który się innych senatorów wybiera. Jednakowoż, jak zaznaczyliśmy, moment niezawisłości w wykonywaniu swoich funkcji, połączony z dożywotnim charakterem nominacji, ma dla nas znaczenie przeważające *).

Dodajemy, że instytucja senatorów z nominacji Prezydenta posiada szczególne znaczenie dla światopoglądu zachowawczego, gdyż w ten sposób istnieją zawsze szanse wprowadzenia do Sejmu wybitnych jednostek, reprezentujących niezbędny w życiu politycznem czynnik umiaru, które prawie nie miałyby możności w naszych prymitywnych warunkach wejść do ciał ustawodawczych drogą wyborów powszechnych, opartych na ordynacji, jaka u nas obowiązuje.

Poza wirylistami i senatorami z nominacji, reszta składu Senatu powinna oczywiście pochodzić z wyborów. Zmiana systemu wyborczego w stosunku do istniejącego stanu prawnego powinna polegać, jak to już wyżej podnieśliśmy, na głosowaniu na kandydatów indywidualnych. Ale nadto

---

*) Pomijając już to, że z pojęciem uznania zasługi, miarodajnem w tym wypadku, nie zgadza się nominacja do Senatu na okres, zgóry ograniczony. Przyp. Red.

należy, zdaniem mojem, wprowadzić jeszcze dalszą zmianę systemu wyborczego do Senatu, polegającą na tem, że pewna część senatorów wychodziłaby nie z wyborów powszechnych, lecz dokonywanych przez ciała samorządowe. Najwłaściwszem byłoby dokonywanie tych wyborów przez sejmiki wojewódzkie, oczywiście, o ile do czasu zmiany konstytucji wprowadzony będzie samorząd wojewódzki w całej Polsce.

Co do wzajemnego liczbowego stosunku senatorów — wirylistów, senatorów z nominacji, senatorów z wyboru samorządów i senatorów z wyborów powszechnych — nie wypowiadamy się tutaj cyfrowo, traktując nasze uwagi jako szkicowe. W każdym jednak razie zaznaczamy, że niekoniecznie większość senatorów powinna pochodzić z wyboru. O ile bowiem Sejm ma być wyrazem „woli ludu" — i to prawdziwej, a nie fikcyjnej — o tyle skład Senatu powinien być normowany przedewszystkiem innymi względami, zapewniającymi mu istotnie wysoki poziom fachowości i politycznego umiaru.

## V.

## Trybunał Konstytucyjny.

Kwestja zgodności ustaw zwyczajowych z Konstytucją posiada pierwszorzędne znaczenie w życiu państwowem. Jak wiadomo, sądy posiadają u nas prawo badania zgodności rozporządzeń z ustawami. Natomiast, o ile chodzi o zgodność ustawy zwyczajowej z ustawą konstytucyjną, niema według obecnie obowiązującej konstytucji żadnej instytucji, upoważnionej do badania tej zgodności.

Opinja prawników polskich jest naogół zgodna pod tym względem — co do zamieszczenia w konstytucji postanowienia o utworzeniu takiego trybunału. Np. prof. M. Rostworowski (Odpowiedź na kwestjonarjusz w sprawie rewizji

Konstytucji polskiej. Zbiór materjałów. Ankieta j. w.) pisze, że jest zwolennikiem Trybunału Konstytucyjnego, z tem, że za wzór mógłby tu posłużyć Trybunał Czechosłowacki, z tą tylko różnicą, że oprócz ciał, powołanych do wszczęcia procedury przed Trybunałem, powołałby do tego jeszcze i rząd. Dodaje, że jeżeli sejm może odczuwać wątpliwości co do konstytucyjności ustawy, uchwalonej przez swego poprzednika, to analogiczne wątpliwości może też wzbudzić ustawa w rządzie wobec kontrasygnatury, udzielonej przez rząd poprzedni, a wątpliwości te rozstrzygnie Trybunał *).

Zaznaczam, że co do strony terminologicznej, to możnaby tutaj dyskutować; niektórzy prawnicy proponują nazwę „Trybunał Straży Praw“ lub „Trybunał Konstytucyjności Ustaw“. W każdym razie postanowienie o Trybunale Konstytucyjnym powinno być zamieszczone w ustawie konstytucyjnej w sposób wyraźny i zasadniczy, a szczegóły mogą być pozostawione unormowaniu w drodze specjalnej ustawy zwyczajowej.

## VI.

## Kwestja Naczelnej Izby Gospodarczej.

Jestem stanowczo przeciwny projektom utworzenia Naczelnej Izby Gospodarczej i należałoby, mojem zdaniem, skreślić odnośne postanowienie Konstytucji, aby położyć kres zbytecznym dyskusjom i szkodliwym nieporozumieniom. Jak wiemy, Konstytucja marcowa postanowiła w art. 68: „Obok samorządu terytorjalnego osobna ustawa powoła samorząd gospodarczy dla poszczególnych dziedzin

---

*) Por. Franz Adler, Das tschechoslovakische Verfassungsrecht in den Jahren 1922 bis 1928 (Jahrbuch des öffentl. Rechts. XVII, Tübingen 1929), który (str. 278) uważa Trybunał Konstytucyjny za „ukoronowanie“ gwarancji, stworzonych przez Konstytucję czechosłowacką dla zgodnego z Konstytucją funkcjonowania organizmu państwowego.

życia gospodarczego, a mianowicie: Izby rolnicze, handlowe, przemysłowe, rzemieślnicze, pracy najemnej i inne, połączone w Naczelną Izbę Gospodarczą Rzeczypospolitej, których współpracę z władzami państwowemi w kierowaniu życiem gospodarczem i w zakresie zamierzeń ustawodawczych określą ustawy".

Powyższe postanowienie wywołało żywą dyskusję na temat Naczelnej Izby Gospodarczej, potrzeby jej utworzenia, składu, zadań i t. d., przyczem stwierdzić należy, że istotnie de lege lata, stojąc na gruncie obowiązującej obecnie Konstytucji, Nacz. Izba Gospodarcza winna być utworzona, gdyż zapowiedzi konstytucyjne powinny być wykonane. Ale chodzi nam o to, aby na przyszłość, de lege ferenda, postanowienie to z konstytucji skreślić.

Zbyt pohopnie i bezkrytycznie przywiązywało się u nas i przywiązuje wielką wagę do roli różnego rodzaju ciał obradujących. Zapomina się jednak o tem, że te ciała obradujące zawodzą nieraz z dwojakich powodów: po pierwsze dlatego, że powołuje się do nich pierwszorzędnych fachowców (a inaczej być oczywiście nie może, jeżeli te ciała mają mieć odpowiedni autorytet), ale te pierwszorzędne siły są z natury rzeczy już tak zaabsorbowane swojemi stałemi zajęciami, że pracy w tych ciałach obradujących mogą poświęcić zaledwie niewiele czasu, często tylko zrzadka i okolicznościowo; po drugie zaś dlatego, że jeżeli chodzi o opinję tych pierwszorzędnych fachowców, to można w sposób, pod względem formalnym daleko prostszy, zasięgnąć tej opinji — czy to wybitnych autorytetów, czy fachowych organizacji — bez tworzenia ciał obradujących.

Sprawdza się to na rozmaitych przybocznych Radach, istniejących przy poszczególnych ministerjach, które od czasu do czasu zbierają się na uroczyste obrady, w czem jednak nie może być mowy o stałej i systematycznej pracy. Sprawdziło się to też na instytucji Rady Prawniczej, która została w r. 1926 utworzona jako surogat polskiej Rady Stanu,

w zakresie funkcji opinjodawczych na wzór francuskiego Conseil d'Etat. Przywiązywano do niej wielkie nadzieje. Istotnie pracę swą rozpoczęła bardzo poważnie i owocnie, ale niebawem funkcje jej faktycznie ustały, chociaż formalnie nie została zniesiona. Biorąc osobiście udział w jej pracach w latach 1926/27, miałem sposobność obserwować, że skład jej był pierwszorzędny, ale dotknięty tą właśnie funkcjonalną wadą zasadniczą, że jej członkowie, zaabsorbowani pracą na najbardziej czynnych i odpowiedzialnych stanowiskach, zaledwie małą cząstkę swego czasu mogli jej poświęcać; w tych warunkach nie mogło być mowy o pracy należycie szybkiej i wydajnej.

Podobny los podzieliłaby zapewne Nacz. Izba Gospodarcza. Stworzonoby ciało wielkie, o składzie osobowym może pierwszorzędnym, a jednak nieaktualne i zbyteczne, bo mogące zbierać się rzadko, nie mogące więc funkcjonować stale i intensywnie. Gdyby bowiem zażądano od jej członków pracy stałej, to wtedy konsekwentnie musiałaby się N. I. G. przemienić w urząd, a jej członkowie — w zawodowych urzędników! Urządzanie zaś od czasu do czasu zjazdu przedstawicieli Izb gospodarczych dla zasięgnięcia ich opinji w ważnych sprawach możliwem jest zawsze i bez tworzenia Izby Naczelnej.

Wreszcie konstrukcja Nacz. Izby Gospodarczej, tak, jak się przedstawia w obecnej konstytucji, wywoływaćby mogła pozory ciała, konkurującego — co do stanowiska w życiu publiczno-prawnem — z Senatem! (Por. ciekawą książkę Bernharda: Wirtschaftsparlamente, 1923).

**Tadeusz Hilarowicz.**

Do powyższego referatu pozwala sobie Redakcja dołączyć następujące uwagi.

Przedstawione w nim reformy, jakkolwiek same przez się już dość zdecydowane, uważamy tylko za pewien etap —

może dłuższy — w dążeniu do „przegrupowania się społeczeństwa na platformę zawodową“ i wprowadzenia ustroju mniejwięcej „korporacyjnego“, z odpowiedniemi konsekwencjami co do składu i wyboru ciał ustawodawczych, o czem pisaliśmy wyraźnie w jednym z artykułów I-go tomu niniejszego wydawnictwa *). Ponieważ jednak osiągnięcie takiego ustroju, który dopiero zaspokoiłby postulaty nowoczesnego „ducha czasu“ i na miejsce doktryn i przesądów demokratycznych wprowadził zasady objektywizmu i „zdrowego rozsądku“, wymaga jednak odpowiedniego czasu — dlatego ograniczamy się na razie do projektu, nie odbiegającego zasadniczo od utartych, demokratycznych form ustrojowych, eliminując z nich tylko demagogję. Oczyszczenie bowiem demokracji z demagogji byłoby już bardzo poważnym sukcesem i postępem.

Postulaty, wymienione w p. I, II i III (bezwzględne veto Prezydenta, równouprawnienie Senatu z Sejmem i reforma ordynacji wyborczej do obu Izb ustawodawczych) uważamy za kategoryczne imperatywy, bez których uwzględnienia dzieło naprawy konstytucji na serjo nawet pomyśleć się nie da. Pominięcie tych postulatów byłoby, zdaniem naszem, łudzeniem samego siebie i w ostatecznym rezultacie tryumfem demagogji partyjnej. Bo przecież bez stanowczego veta Prezydenta, sejm — a więc kliki partyjne — pozostanie zawsze suwerenem w państwie i wszelkie prawnicze lub polityczne argumenty czy paljatywy nie zmienią tego stanu rzeczy. Podobnie dalsze poniżenie Senatu, odgrywającego wszędzie gdzieindziej bądź co bądź rolę izby „wyższej“, unicestwi zgóry poprawę i racjonalne funkcjonowanie ustawodawczej reprezentacji narodu. Przychodzi nawet na myśl: po co ten prezydent i ten senat, skoro nie

*) Jan Bobrzyński: Zawodowa organizacja społeczeństwa i jej wpływ na kształtowanie się państwowego ustroju.

mają nic stanowczego do powiedzenia, a o wszystkiem decyduje ostatecznie sejm — w istocie suwerenny?!

Ograniczenie tej faktycznej suwerenności krzykliwego, demagogicznego zbiorowiska (choćby nawet poprawionego pewną zmianą ordynacji wyborczej) możliwe jest na serjo tylko przez przeciwstawienie mu dwuch innych czynników z głosem równie decydującym. Bez tego wszystko zostanie — po staremu!

Co zaś do p. III-go — zmiana ordynacji wyborczej według list na wybory kandydatów indywidualnych — to absurd, komedja i nieszczerość hasła „woli ludu“, jakie przebijają z sześcioprzymiotnikowego głosowania, są już chyba aż nazbyt widoczne i dotkliwie wypróbowane. Już chyba, jak Polska długa i szeroka, nie znajdzie się nikt, ktoby szczerze i uczciwie mógł twierdzić, że sześcioprzymiotnikowy system głosowania, to nabyte prawo ludu i postępu! A natomiast coraz większą jest liczba tych, nawet szczerych demokratów, którzy przyznają, że głosowanie ciemnych mas na jakieś numerki list wyborczych, to przecież *oczywiste drwiny z prawdziwej woli ludu czy narodu*. A jeżeli absurd ten, w całej swej rozciągłości i szkodliwości i śmieszności, jest już osądzony — a on jest osądzony! — to dlaczego przedłużać ten stan rzeczy dla doktrynerskiej fikcji, z prawdziwą krzywdą dla oszukiwanego przez demagogów społeczeństwa?

Takim właśnie zakostniałym absurdom musi racjonalna reforma ustroju zdecydowanie kres położyć. I twierdzimy stanowczo, że w naszych obecnych warunkach *reforma taka nie wymaga nawet od inicjatorów szczególnej odwagi cywilnej*. Bo oprócz stereotypowego, chwilowego hałasu kilku gazet (którym bez cenzury można dać się wypisać!) i ewentualnych słomiano-płomiennych rezolucji kilku wieców (których uczestnicy gotowi są nazajutrz oklaskiwać z równym zapałem mówców wprost przeciwnych), całe społeczeństwo polskie i mniejszościowe przejmie — częścią obojętnie, częścią

z entuzjazmem — każdą rozumną zmianę ordynacji wyborczej, nawet sięgającą dość głęboko.

Natomiast reformę konstytucji bez odpowiedniej reformy sześcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej uważamy zgóry za chybioną i daremną.

Pozostałe trzy punkty referatu (reforma składu Senatu, Trybunał konstytucyjny i skreślenie projektu Nacz. Izby Gospodarczej) uważamy za ważne, nawet bardzo ważne, ale stosunkowo już drugorzędne w porównaniu z trzema pierwszymi. Podobnie bardzo ważną, chociaż stosunkowo drugorzędną jest dla nas kwestja mianowania i dymisjonowania rządu, nie uwzględniona w artykule prof. Hilarowicza. W tych wszystkich sprawach opinja nasza idzie również w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej i zapewnienia jej autorytetu i ciągłości — ale godzimy się tu na dyskusję. Natomiast w trzech pierwszych punktach zasadniczej dyskusji nie uznajemy, gdyż jakiekolwiek ustępstwo w tym względzie, jakikolwiek kompromis z dotychczasowym absurdem demagogicznym, uważalibyśmy w gruncie rzeczy za sparaliżowanie dzieła naprawy w samym zarodku.

---

# ZA OKNEM W OŁÓW OPRAWNEM.

Prezes Związku Przemysłu Niemieckiego Rzeszy, tajny radca dr. Duisberg — reprezentujący więc i osobiście, jako znany wielki przemysłowiec i powagą swego stanowiska, kierowniczego w tak potężnej organizacji, jaką jest Reichsverband der deutschen Industrie, wielki autorytet gospodarczy — wygłosił na posiedzeniu głównego zarządu tej organizacji w maju b. r. wielce znamienne słowa, które wyryć się powinny dobrze w pamięci każdego z naszych przemysłowców, kupców i bankowców — każdego wogóle, kto zalicza się do t. zw. sfer gospodarczych.

— Przemysł niemiecki znajduje się obecnie — mówił p. Duisberg — w takim punkcie wewnętrzno-politycznego rozwoju, że wzrastające zniechęcenie i malkontentyzm zmuszają go do obrania nowych dróg. Po przewrocie ustrojowym (po wojnie światowej, p. R.) dostała się ostateczna decyzja nawet w sprawach gospodarczych do rąk, które ani nie są w tych zagadnieniach dostatecznie fachowe, ani też nie zdradzają gotowości brania na siebie odpowiedzialności za takie decyzje, których skutki dają się odczuwać w pierwszym rzędzie szerokim masom ludności. Te stosunki prą do tego, aby przedstawiciele gospodarstwa krajowego zerwali z dotychczasową swą wstrzemięźliwością w sprawach politycznych, a natomiast wzięli żywy udział w państwowej polityce przy pomocy wszelkich środków, jakie mają do dyspozycji.

— Nie wystarcza to, że Związek Przemysłu, albo jakaś inna naczelna organizacja gospodarcza, zaczną odtąd brać udział w polityce. Trzeba nadto żądać, aby

*poszczególne jednostki, pracujące na polu gospodarczem, zaczęły uważać sobie za zadanie i obowiązek wzmożenie swej aktywności politycznej.*

Solidaryzując się z tem przemówieniem, wystosowało prezydjum Związku Przemysłu Niemieckiego apel do wszystkich odpowiedzialnych kierowników przedsiębiorstw gospodarczych, aby możliwie intensywnie brali polityczny udział w ciałach przedstawicielskich państwa, krajów Rzeszy i samorządów.

Oto trzeźwa, jasna a mądrze przewidująca konkluzja, do której doszedł i którą — jak zwykle — ściśle a zdecydowanie sformułował i ogłosił wielki przemysł niemiecki. Z konkluzji tej bije doskonałe zrozumienie najgłębszej, najistotniejszej przyczyny kryzysu gospodarczego w każdem z dzisiejszych państw europejskich (bierność polityczna sfer gospodarczych), z drugiej zaś wielki naczelny drogowskaz dla nowoczesnego życia gospodarczego, że: *pomyślna, racjonalna gospodarka narodowa nie da się pomyśleć bez żywego, bezpośredniego zainteresowania i współpracy sfer gospodarczych w całokształcie spraw publicznych, czyli — w polityce!*

A teraz cofnijmy się wstecz — przynajmniej wyobraźnią.

W gotyckiej izbie sklepionej, za oknem, złożonem z mozaiki drobnych okrągłych szybek, w ołów oprawnych, siedzi pochylony nad pulpitem kupiec — czcigodny członek gildyi, w powłóczystej, futrem bramowanej szacie, ślęcząc nad olbrzymią księgą lub nad listami swych dalekich, „zamorskich“ korespondentów. Chmura troski osiadła mu na czole, bo myśl jego biegnie śladem karawany, wysłanej z towarem daleko, poprzez kontynenty, lub śladem okrętów,

wyekwipowanych jego staraniem i niosących przez dalekie morza jego fortunę w bogatym towarze.

Ale jest to też — prawdę mówiąc — jedyna jego troska. Wielka, bo nieraz cały los czcigodnej firmy zawisł na maszcie takiego okrętu, albo na grzbiecie zwierzęcia jucznego, ale — jedyna.

Bo cóż obchodzą kupca takiego losy państwa, w którem założył lub odziedziczył siedzibę swej firmy i główny magazyn swych towarów! Polityka, troska o państwo — to nie jego rzecz, to rzecz króla, kanclerza, hetmana. Mniejsza o to, kto krajem rządzi, bo kupiec czy rzemieślnik dostosuje się do każdego rządu, do każdych warunków, a handel i rzemiosło są i będą ostatecznie każdemu potrzebne. Potrzeba i wymiana, to rzeczy ludzkie, międzynarodowe. Wiadomo, że daninę każdemu rządowi płacić trzeba — pod tym względem wszystkie są jednakie. Główna rzecz, to owa karawana, którą napaść mogą rozbójnicy, albo ów okręt, który może zginąć w odmęcie lub wpaść w ręce piratów.

W tej trosce i więcej, bo w tej ambicji, upływa jednostajne życie całych pokoleń kupieckich. Syn następuje po ojcu w czcigodnym, starożytnym kantorze, za oknem, w ołów oprawnem. Chyba, że jakaś bezpośrednia katastrofa dotknie miasto, że chciwy łupu nieprzyjaciel wedrze się w jego mury! Ale często i jego można zaspokoić, można się z nim, jak to mówią, „wyrównać", sięgnąwszy nieco do rzeźbionej kalety, stojącej ot tam w rogu, pod ścianą.

Tak mniejwięcej — bo wyjątki potwierdzają i tu regułę — żył sobie kupiec, bankier i rzemieślnik - przemysłowiec w dawnych, dobrych czasach — kiedy to jeszcze nie znano djabelskich wymysłów kolei, telegrafu, telefonu, automobilów, radja, no i — powszechnego głosowania, tego najbardziej szatańskiego wynalazku! Byle interes szedł — mniejsza o resztę! I w tej też atmosferze i szkole wychowywały się sfery gospodarcze, mimo całego otaczającego je postępu, po dzień dzisiejszy.

Aż wreszcie postęp ten — który niestety rozwija się poza szybą w ołów oprawną i nie szanuje czcigodnej, starodawnej, spetryfikowanej tradycji gotyckiego kantoru — przyniósł ze sobą rewolucjonizujące zmiany. Przyszły do głosu — i to do bardzo donośnego głosu! — najszersze sfery społeczeństwa, wbrew dawnemu, dobremu ustrojowi stanowemu. A w rezultacie dzisiaj — o zgrozo! — każdy pierwszy lepszy chłop, czy czeladnik, czy stróż nocny (który dawniej miał prawo tylko wywoływać godziny), ba, każdy pierwszy lepszy zawalidroga, mieni się współobywatelem, od stóp do głów każdemu równouprawnionym, a nawet wtrąca się — i to bardzo dotkliwie — w interesy przemysłu i handlu. Co więcej, zbiorowisko takich obywateli, zwane sejmem czy parlamentem, ośmiela się decydować we wszystkiem i o wszystkiem, rządzić państwem, nakładać podatki, ustalać cła i krępować niezliczonemi ustawami swobodny oddech i rzeźbioną kaletę w pradziadowskim kantorze! O tempora, o mores!

Szczęśliwe czasy gotyckiego kantoru i karawan i prujących morze karawel, z banderą hanzeatycką i dumnym napisem firmy na kadłubie — minęły bezpowrotnie. Kupiec, bankier, przemysłowiec czy rzemieślnik musi dźwignąć się ze swego fotelu za oknem, w którem ołów zastąpiły lustrzane szyby, i wyjść na ulicę, aby — ratować swój byt przed nienasyconą zachłannością tego zbiorowiska, zwanego demokratycznym parlamentem i przed niemniej nienasyconem bożyszczem, które ochrzczono mianem nowoczesnego państwa.

Ale musi wyjść na ulicę, musi — o zgrozo! — wmieszać się w tłum, rozprawiający o jakiejś tam polityce, która przecież nic wspólnego nie miała nigdy z interesem! Musi tracić czas na jakieś sprawy, niegodne solidnego człowieka interesu, zamiast odsiedzieć punktualnie swoich dwanaście godzin za kantorkiem, jak ojce i praojce przykazali. Ale tradycja, jak często, tak i tu silniejszą jest od postępu. Gotycki kantor, jakkolwiek zmodernizowany, z trudem tylko, z wiel-

kim trudem i oporem przyjmuje wszelkie inowacje. Spadkobierca firmy zamyśla się głęboko...

Czyż niema wyjścia z tej sytuacji? Tak wstrętna rzecz i tak nudna, ta polityka! Każda moja godzina warta tyle a tyle, a tu trzeba czas tracić na jakieś tam polityczne kombinacje. Kto mi zwróci tę stratę? A możeby zrobił to kto za mnie? Ot zapłacę mu, jak się należy, i wyślę dla „robienia polityki“, skoro już inaczej być nie może! Świetna myśl! Tylko, niech szanuje moje pieniądze i niech gada tam, po sejmach i u ministrów, tylko o moich interesach, bo reszta, to nie dla mnie, to mnie niewiele obchodzi. Resztę niech robią inni, szlachcice, czy dziennikarze, czy adwokaci, a solidny kupiec niech pilnuje swego!

No i wynajmuje się z gestem patrycjuszowskim zastępcę do „robienia polityki“. W księdze głównej figuruje ta pozycja w „sumach przechodnich“, gdzie — jak wiadomo — mieści się cały „groch z kapustą“ drobnych, jawnych i tajnych wydatków. A najbardziej rasowi i zapobiegliwi kupcy czy przemysłowcy notują ten wydatek na rachunku należytości „wątpliwych“. I ci mają rację.

Bo zastępców znajduje się aż dwuch. Jeden, to ów cichy, pokornego serca prokurent, czy dyrektor, czy nawet wspólnik, który, przeniesiony nagle w nieznane mu warunki, w hałas, krzyk i zdradziecką gmatwaninę politycznego życia, napróżno usiłuje „reprezentować“ tam interesy swego czy swych mocodawców. Napróżno stara się krzątać po komisjach i kuluarach sejmowych, potrącany łokciami, napróżno wnosi podyktowane mu przez mocodawców w gotyckim kantorze supliki do ministrów. Napróżno nawet, zebrawszy się na heroiczny wysiłek, wygłasza jakąś „absolutnie bezpartyjną, ściśle gospodarczą“ mowę w komisji sejmowej. Ba, widziano nawet takich, którzy — podeptawszy na chwilę starodawne, czcigodne tradycje gotyckiego kantoru — wyrywali się z przemówieniem na plenum, broniąc walecznie jakiejś drobnej poprawki celnej lub wyrażając nadzieję, że „wysoki sejm i niemniej wysoki rząd zechcą, w zro-

zumieniu najżywotniejszych interesów gospodarczych państwa"... i t. d. i t. d.

Ale jest i drugi pośrednik, który wprawdzie jest droższy, ale tem dogodniejszy dla czcigodnego członka pierwszej czy którejś tam gildyi, że się sam zgłasza i złote góry obiecuje za pieniądze na mandat. To przedstawiciel partji — przedstawiciel tych właśnie nowoczesnych obywateli wszelkiego typu i kalibru, którzy dorwali się do władzy.

Ho, ho, to już nie żarty! To już nie dyrektorek czy prokurent, którego się wysyła dla „robienia polityki": ściśle według instrukcji mocodawców. To, panie dobrodzieju, polityk całą gębą, przedstawiciel woli ludu. To ten właśnie, co to decyduje o cłach, podatkach i innych najdotkliwszych interesach, o życiu i śmierci firmy. Dlaczego on decyduje? No, oczywiście dlatego, że... firma nie chce decydować o tem sama!

A więc kupcy, przemysłowcy, bankierzy i rzemieślnicy otwierają szeroko swoje — już nie rzeźbione kalety, ale wertheimowskie kasy i dobywają resztek, aby zapewnić sobie owe obiecane złote góry przez przedstawicieli partji — chłopów, robotników i różnych bezrobotnych z inteligencji i z proletarjatu, którzy wszyscy żyją z djet i interesów poselskich, żyją za wszelką cenę. Ale, ba! Kupiec i przemysłowiec dali wprawdzie pieniądze i zapisali się nawet na członków jakiejś srodze demokratycznej partji, ale teraz trzeba jeszcze mieć głosy. Bo ostatecznie samymi pieniędzmi, bez odpowiedniej liczby kartek wyborczych, trudno zostać posłem i „parlamentarnym reprezentantem najżywotniejszych interesów życia gospodarczego". Więc szczęśliwy mandatarjusz, załatwiwszy pomyślnie swój najdelikatniejszy interes w gotyckim kantorze i przyobiecawszy tam solennie niemal całkowite zniesienie podatków i inne, miłe dla ucha gospodarczego rzeczy, rusza — w tłum.

I temu tłumowi obiecuje oczywiście coś całkiem przeciwnego. Obiecuje zniszczyć, a w razie potrzeby nawet wyrżnąć tych burżujów, te pijawki w gotyckim kantorze,

które żłopią krew ludu i tyją jego potem. A więc zgnieść ich podatkiem, wywłaszczyć, wypędzić za dziesiątą granicę!

Lud bije brawo, rozchodzi się zadowolony, oddając głosy na pogromcę przemysłu, handlu, rolnictwa, rzemiosła i finansów. Zadowolony jest nowy poseł, zadowolenie panuje także w gotyckim kantorze.

— No, teraz mamy przynajmniej przedstawiciela i obrońcę, co się zowie! — mówią w kantorze. — Należymy nawet ponoś do jakiejś tam partji (panie Eiertreter, podaj mi pan mój notatnik, gdzie sobie zapisałem, do jakiej my to partji należymy!).

— No — gwarzy tłum wyborców — teraz mamy nareszcie posła, co się zowie! Ten ci zaleje sadła za skórę tym pijawkom kramarskim, co tam za kantorkiem siedzą!

Wszędzie więc radość i zadowolenie, a najbardziej kontent władca kantoru, który, w całem poczuciu swego „udziału w życiu politycznem“, ogłasza wszem i wobec i każdemu z osobna, że „dał na politykę“, bo to dzisiaj nawet kupiec czy bankier jest przecież „także obywatelem kraju“ i ma poczucie swego „obowiązku“ względem państwa.

Idylla trwa do chwili zwołania sejmu, a nawet może jeszcze przez pierwsze jego posiedzenia o charakterze — jak to często bywa — patrjotyczno-formalnym. A potem pada grom po gromie na cichy, czcigodny kantor gotycki: podatek za podatkiem, progresja za progresją, zakaz za zakazem, ograniczenie za ograniczeniem, ucisk, bankructwa, konfiskaty, etatyzacja, socjalizacja — kryzys, katastrofa, nędza!

W kantorze — rozpacz, rozczarowanie, inkryminacje na rząd, sejm, stosunki — na Polskę całą! Zbierają się na gwałt organizacje gospodarcze takie i owakie, wysłuchują wielołokciowych referatów i uchwalają w świętem oburzeniu sążniste „deklaracje“ i supliki do rządu, z któremi wybierają się na wędrówkę po ministerjach i urzędach skarbo-

wych „wybitni przedstawiciele życia gospodarczego w państwie“.

Ileż to buchalteryjnie wartościowego czasu marnuje się na wędrówki i starania tego rodzaju, zwykle niestety — spóźnione! Bo tymczasem ustawa, rujnująca lub wywłaszczająca, staje się ustawą, której miażdżącego działania gładkie, kurtuazyjne słowa różnych dygnitarzy i półdygnitarzy urzędowych względem pielgrzymujących wysłanników organizacji gospodarczych w niczem nie są w stanie zmienić, albo niewiele. Ustawa pozostaje ustawą, demagogja demagogją, podatek podatkiem, a koszta tego eksperymentu płaci naiwny, czcigodny kupiec czy przemysłowiec z gotyckiego kantoru!

Inaczej przecież być nie może. W nowoczesnem państwie polityka, pojęta nie jako ślepa, bezkrytyczna a bierna przynależność partyjna, ale jako żywe i czynne zainteresowanie się całokształtem „sprawy publicznej“, jest nierozerwalnie związana z losem życia gospodarczego, z kwestją życia i śmierci każdego „gotyckiego kantoru“. Kto tego nie chce lub nie może zrozumieć, ten nie jest prawdziwym przemysłowcem, czy kupcem, czy finansistą, ale tylko — kramarzem w dawnym stylu, zawodowym przeżytkiem, którego najlepsze wysiłki nad czcigodnym kantorem zmiecie z pulpitu lada podmuch szalejącej demagogji. A demagogja jest dzisiaj przecież istotną, najgłębszą podstawą i racją bytu każdej partji demokratycznej. W najżywotniejszym interesie każdej takiej partji leży przecież zdobycie mandatów, a to odbywa się według stereotypowej, wypróbowanej reguły: najpierw ściągnięcie funduszów organizacyjnych i wyborczych od politycznie nieuświadomionych i biernych sfer gospodarczych, a potem zaprzedanie ich egzystencji antygospodarczym postulatom demagogji za cenę sejmowych czy samorządowych mandatów. Stąd też w najżywotniejszym interesie wszystkich partji demagogicznych — wszystkich, bez wyjątku — leży i leżeć musi przypodobanie się szerokim masom „pracującym“ (no i bezrobotnym) przez wzajemne

przelicytowywanie się projektami zniszczenia dochodu, majątku i wogóle egzystencji tych „pijawek gospodarczych — przemysłowców, kupców, bankowców, ziemian, a nawet zamożniejszych rzemieślników — tuczących się krwią i potem ludu!“.

Jeżeli więc ogół (bo wyjątki nie zmienią sytuacji) wyższych sfer gospodarczych czuje tradycyjny wstręt do polityki, jeżeli wciąż uparcie twierdzi, że się na niej nie rozumie i jeżeli woli oddawać losy swego warsztatu pracy pierwszym lepszym demagogom partyjnym, to nie wolno się dziwić, że życie gospodarcze w Polsce i byt warsztatów pracy coraz bardziej upada, gdyż w życiu publicznem, politycznem, miejsce naturalnych rzeczników spraw gospodarczych zajmują żywioły, programowo i taktycznie wręcz wrogie najżywotniejszym interesom życia gospodarczego. Bo proszę sobie przedstawić na chwilę, że nasze partje sejmokratyczne, a więc Endecja, czy Chadecja, czy Piastowcy, czy Narodowa Partja Robotnicza, czy Wyzwolenie, czy P. P. S., zajęły się na jedną chwilę szczerze interesem sfer gospodarczych, t. j. posiadających. Straciłyby momentalnie popularność, jaką daje w sześcioprzymiotnikowem głosowaniu tylko skrajna demagogja wyborcza i wpadłyby w nieskończone konflikty i sprzeczności programowe. Poprostu — przestałyby istnieć. Jakaż więc stąd wypływa praktyczna konsekwencja dla naszych sfer gospodarczych?

Wypływa ta, że jeżeli chcą naprawdę uchronić się od zagłady i przeciwstawić się skutecznie, przynajmniej w pewnym stopniu, postępującej naprzód nieubłaganie demagogji, etatyzacji i ruinie życia gospodarczego, jeżeli chcą na serjo przestać być tą dojną krową, którą pierwsza lepsza klika demagogiczna najpierw doi do ostatka, a potem zarzyna, to muszą:

1) zerwać ze swą zaśniedziałą tradycją „gotyckiego kantoru“ i wziąć czynny udział w życiu politycznem tak, jak to czynią inne warstwy i zawody,

2) zająć się żywo nietylko obroną swych interesów fachowych, ale w możliwie szerokiej mierze także całokształtem spraw publicznych i państwowych wogóle, bo wieczny suplikant w swych prywatnych, ściśle zawodowych interesach, nie zyska sobie nigdy odpowiedniego autorytetu, a traktowany będzie przez rząd i resztę społeczeństwa jako „natrętny petent“,

3) przeznaczyć celowo, buchalteryjnie, pewien procent czasu i pracy na systematyczne zajmowanie się sprawą publiczną,

4) nie wierzyć bezkrytycznie powierzchownym programom pierwszej lepszej partji sejmowej, ale ukształtować sobie miejsce i program w życiu politycznem społeczeństwa według własnego rozumu, koordynując jednak rozsądnie własne cele z oczywistymi postulatami dobra całego kraju,

5) przyznać się przedewszystkiem, jasno i otwarcie, do tego światopoglądu, który jedynie odpowiada najżywotniejszym interesom życia gospodarczego i który dlatego nigdy ich nie zdradzi, t. j. do światopoglądu zachowawczego, gdyż przemysłowiec lub kupiec w roli radykała-demokraty jest bez żadnej kwestji zjawiskiem cudacznem, którego trudno traktować na serjo

6) wyzwolić się z opieki różnych demagogicznych, sejmowładczych czy ludowładczych opiekunów, którzy — jako jawni lub tajni delegaci różnych partji demokratycznych — zajmują miejsca w kierownictwie organizacji gospodarczych, pilnując skwapliwie, aby dana organizacja utrzymała się w wierności dla danej partji i spełniała dalej wiernie a biernie swą funkcję dojnej krowy celem dostarczenia mandatów sejmowych i samorządowych przedstawicielom klik partyjnych, którzy tem tylko żyją, a bez tego w nicość się zapadną.

Oto — Szanowni Panowie ze sfer gospodarczych — wierny i szczery obraz waszej sytuacji i zarazem proste,

wolne od uczonych frazesów wyjaśnienie t. zw. kryzysu gospodarczego w Polsce, jak i pierwszych, oczywistych warunków położenia mu tamy. Nie narzekajcie na rząd i podatki i młodą Polskę i demagogję i „biały bolszewizm“ krajowy i system rządów przedmajowych czy pomajowych — gdyż obecne, tak głębokie zabagnienie stosunków gospodarczych, to w pierwszym rzędzie wasza własna wina, spowodowana waszą zakostniałą „kupiecką“ tradycją i niechęcią do zainteresowania się sprawą publiczną. Zdaje się wam, że im więcej pracować dziś będziecie w waszych biurach i fabrykach, tem większe osiągniecie zyski. Błąd kapitalny! Modernizacja i demokratyzacja stosunków wymaga dzisiaj kategorycznie od każdego poświęcenia się w pewnym stopniu także polityce obok zajęć zawodowych. Kto tego nie rozumie, kto z uporem usuwa się od życia publicznego, zasłaniając się t. zw. nawałem zajęć i kłopotów zawodowych, ten zmierza do ruiny, bo w danych warunkach kłopoty te będą coraz liczniejsze, coraz większe, aż wreszcie zaleją wasze warsztaty pracy — razem z wami! Musi więc — i to w sposób szybki, zdecydowany — powstać silny obóz racjonalnej polityki gospodarczej w państwie. A ta polityka może i musi mieć charakter tylko zachowawczy, skoro życie gospodarcze i cel zarobkowy każdego poważnego warsztatu pracy nie znoszą lekkomyślnych eksperymentów demokratycznych, ale z natury rzeczy posiadają charakter konserwatywny.

Z chwilą, gdy nasz świat gospodarczy jasno sobie tę oczywistą prawdę uświadomi i stanie murem w jednym szeregu w tym całym froncie obywatelskim, który wyznaje szczerze światopogląd konserwatywny i nie wstydzi się tej zaszczytnej nomenklatury, z tą chwilą szala losów gospodarstwa krajowego zacznie stopniowo przechylać się na prawo — w kierunku sprawiedliwego zysku, kapitalizacji prywatnej i racjonalnych reform gospodarczych — a demagogja, etatyzm, socjalizm oraz ich rezultat: nadmierny

ciężar podatkowy, zaczną kurczyć się do odpowiedniego minimum. A wówczas stwierdzą wszyscy ze zdziwieniem, jak niewielki wpływ na nasze stosunki krajowe wywierają zagraniczne konjunktury gospodarcze i jak łatwo z niemi dojść do ładu!

Każdy poważny przemysłowiec, kupiec, rolnik, rzemieślnik i finansista, każdy posiadacz jakiegokolwiek znaczniejszego mienia, jest i musi być z natury rzeczy konserwatystą. W kraju jest źle, ponieważ liczne rzesze tych „naturalnych konserwatystów“ nie chcą się przyznać do swych przekonań i albo stronią całkiem od sprawy publicznej, albo dają się wodzić za nos biernie sprytnym partjom demagogicznym. Będzie w kraju dobrze, gdy sfery gospodarcze przyznają się otwarcie do swego właściwego światopoglądu i zaważą całym swym moralnym i materjalnym walorem na prawej szali losów państwa i gospodarstwa krajowego.

Neutralnym dzisiaj być nie wolno i niepodobna. Kto nim zostanie, kto dalej lawirować zechce w bezkrytycznem oportuniźmie, ten też przyjąć musi bez szemrania wszelkie tej taktyki konsekwencje.

**Jan Bobrzyński.**

---

# BAŁTYK — MORZE CZARNE.

W końcu maja r. b. prasa warszawska została poruszona rzekomemi rewelacjami o poufnych rozmowach p. Wojciecha Trąmpczyńskiego z przedstawicielami Sowietów. Przedmiotem rozmów była sprawa dróg wodnych, łączących Bałtyk z morzem Czarnem poprzez Wisłę, Bug, Prypeć i Dniepr.

Kronikarze, interesujący się tą sprawą, powinni byli przypomnieć sobie, że o rozmowach tych mówił już p. W. Trąmpczyński oficjalnie dn. 19 kwietnia 1928 r. w komisji budżetowej Sejmu z okazji exposé p. J. Moraczewskiego, ówczesnego ministra robót publicznych. Mówiąc o konieczności odwodnienia Polesia oraz regulacji Prypeci, p. W. Trąmpczyński m. in. powiedział: „Trzebaby poznosić zapory nietylko po stronie naszej, ale i po stronie Sowietów. Rozmawiałem przypadkowo o tem z Cziczerinem i Wojkowem i byli skłonni do ułożenia wspólnego planu, a nawet do wyszukania dawnego projektu z czasów carskich. Miałoby to znaczenie także polityczne i podniosłoby nasz prestige. Świat podejrzewa nas, że lada dzień wybuchnie wojna polsko-sowiecka, a temu zadałoby kłam takie współdziałanie. Przekonałem Cziczerina, że to jest także w interesie Sowietów".

W ostatniem swem wystąpieniu w prasie p. W. Trąmpczyński rozszerzył tylko wypowiedziane wyżej poglądy i podał kilka szczegółów o swych rozmowach z przedstawicielami Sowietów. Sądzę jednak, że zbyteczne było podkreślanie „przypadkowego" charakteru tych rozmów, gdyż tak doniosłej sprawy nie należałoby w żadnych okolicznościach bagatelizować. Tembardziej, że w danym wypadku nie było żadnej przypadkowości, działał natomiast motyw zgóry

uplanowanej akcji. Piszący te słowa, interesując się w 1925 roku problemem ekonomicznym polskich dróg wodnych, złożył obszerniejsze memorjały w tej sprawie p. Leopoldowi Kotnowskiemu, prezesowi Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej oraz p. Antoniemu Ponikowskiemu, jako prezesowi Polsko-Sowieckiej Izby Handlowej. P. L. Kotnowski pokazał ten memorjał p. Wojciechowi Trąmpczyńskiemu, ówczesnemu prezesowi „Towarzystwa propagandy budowy dróg i budowli wodnych w Polsce oraz ich uprzemysłowienia i wykorzystania“ *). W memorjale tym pisałem, że najwłaściwszą drogą do zainteresowania kapitału amerykańskiego byłaby osoba generała inż. Goethals'a (obecnie już nieżyjącego), twórcy kanału Panamskiego i później kierownika olbrzymich robót hydrotechnicznych w Kalifornji. Gdybyśmy jego i otaczającą go grupę kapitalistów zdołali zainteresować wielkością i międzynarodowem znaczeniem naszego projektu, sądzę, że opinja jego byłaby wystarczającą dla sfinansowania projektu. My sami jednak, t. j. strona polska, nic w tej sprawie uczynić nie będziemy mogli bez współdziałania strony rosyjskiej. Z punktu widzenia amerykańskiego i międzynarodowego strona rosyjska będzie tu niewątpliwie niemniej ważną.

Jaką jednak drogą dojść do współpracy z Rosją w tej sprawie? Należałoby przedewszystkiem sprawę tę przedstawić rządowi polskiemu i uzyskać aprobatę, poczem powołać do życia specjalny organ, złożony z ludzi, którzy już zapoczątkowali wielką ideę rozbudowy dróg wodnych w Polsce. Organ ten nawiąże konfidencjonalnie rokowania najprzód z pp. Wojkowem i Nazareniusem w tym celu, aby oni przedstawili sprawę osobiście Trockiemu, ponieważ Trocki w tym czasie zajął się regulacją Dniepru, porohami dnieprowskiemi, wyzyskaniem ich dla elektryfikacji etc. Po uzgodnieniu w ten sposób ze stroną rosyjską poglądów i za-

*) W tym samym czasie zamieściłem w tej sprawie kilka artykułów w dwóch dziennikach warszawskich. Artykuły te zostały następnie przedrukowane lub przerobione w kilku pismach polsko-amerykańskich.

dań na budowę kanału, sprawa staje się jawną i specjalna komisja mieszana opracowuje plany techniczne i finansowe, prowadzi umiejętną propagandę w Ameryce i w Anglji i przygotowuje teren dla sfinansowania tego epokowego dla nas przedsiębiorstwa.

Z powyższego wynika, że memorjał osiągnął częściowo swój cel oraz że p. W. Trąmpczyński, w charakterze prezesa organizacji propagandowej, przyczynił się w pewnej mierze do zapoczątkowania akcji, która, niezależnie od osób, rządów i ustrojów państwowych, prędzej czy później zrealizowaną być powinna.

## POLSKA JAKO OŚ HANDLOWA EUROPY.

P. Karol S. Dewey, badając gospodarczo-geograficzne możliwości kraju naszego, poświęcił im cały ustęp w swem sprawozdaniu Nr. 8 za trzeci kwartał 1929 r. Spostrzeżenia swoje wypowiedział on następnie na bankiecie sfer przemysłowo-handlowych w Nowym Jorku. Pan Dewey spostrzegł to, o czem półtora wieku temu, w przededniu trzeciego rozbioru Polski, marzył książę Ogiński —- o połączeniu dwóch mórz, okalających z północy i południa dawną Polskę. P. Dewey w kilku zdaniach rekapituluje historję handlu starożytnego pomiędzy Wschodem a Zachodem poprzez ziemie polskie, poczem powraca do koncepcji wskrzeszenia i ożywienia tych starych dróg handlowych, lecz ogranicza się wyłącznie do dróg kolejowych, łączących Gdańsk i Gdynię z portami rumuńskimi na morzu Czarnem. Podkreśla on, że jest to najkrótsza i najwygodniejsza dla ruchu towarowego droga, przecinająca Europę centralną z północy na południe. W tej właśnie koncepcji należy szukać źródła zainteresowania się p. Dewey'a naszym przemysłem kolejowym, przed którym otwierają się duże możliwości w zakresie handlu międzynarodowego.

Nie wątpimy, że, o ile p. Dewey z tego samego punktu widzenia zainteresuje się drogami wodnemi, gdy zbada moż-

liwości połączenia istniejących rzek systemem sztucznych kanałów, wówczas z równym entuzjazmem będzie propagował ideę połączenia Bałtyku z morzem Czarnem, ale już nietylko drogami żelaznemi, lecz nadewszystko drogami wodnemi.

*Polska w zakresie swej żeglugi nie może się zadowolić oddanym jej na mocy traktatu Wersalskiego skrawkiem morza. Jest on niewystarczający dla naszego organizmu gospodarczego.* Aorta Wisły w tym organiźmie nie jest w stanie wypełnić należycie swych czynności fizjologicznych. Dla utrzymania zdrowego pulsu serca Polski koniecznem się staje dopełnienie jej całą siecią nowych naczyń krwionośnych. Jeżeli handel polski przed wiekami począł już organicznie kształtować taki system swych dróg, w którym Wisła była głównym kanałem w międzynarodowej wymianie towarowej, to od czasów porozbiorowych system ten uległ zupełnej sklerozie. Państwa zaborcze mogły tryumfować, że krępując rozwój naturalnych dróg wodnych Polski, skazują na śmierć jej organizm gospodarczy. W znacznym stopniu cel swój osiągnęły. Polska pod względem gospodarczym, w porównaniu z państwami ościennemi, zaczęła się dusić, degenerować. Brakło jej naczyń oddechowych, zanikały więc inne tkanki organiczne.

Jednak ten skrawek morski, który nam przewrót wojenny w spuściźnie pozostawił, jest — powtarzamy — niewystarczający. Zastrzegamy się: nie godzimy w skrawki inne, nie łakniemy mórz naszych sąsiadów. W epoce paktów genewskich i paryskich nieprzystojnie zda się mówić o nowych zdobyczach terytorjalnych, o najazdach morskich lub lądowych. I aczkolwiek bez cienia rumieńca wygłaszamy tu nasze ultra-imperjalistyczne dążenia, co w umyśle obywatela lądowej i agrarnej obecnie Polski może się wydać paradoksem, to jednak nie drogą militarną, lecz czysto ekonomiczną, do celu tego dążyć możemy i musimy.

Jakaż to droga ekonomiczna, która ma zbliżyć Polskę do brzegów mórz i oceanów świata? Rzut oka na mapę Europy, gdy zatrzyma się na systemie wodnym, wiążącym Bałtyk z morzem Czarnem, daje wyraźną odpowiedź na to pytanie. Ujrzymy więc przedewszystkiem rażące podobieństwo, w wyolbrzymionych jednak konturach, z największemi dziełami techniki w zakresie przecinania lądów i łączenia mórz — z kanałami Sueskim oraz Panamskim. Kontynent Europy domaga się takiego przecięcia swego lądu w imię skrócenia linji komunikacyjnych, zredukowania kosztów transportowych, złączenia światowych obszarów wodnych — co, razem wzięte, jest niezmiennym celem całej ludzkości w jej wędrówce historycznej i cywilizacyjnej. A miejscem takiego przecięcia na linji Bałtyk — morze Czarne jest właśnie Polska. Gdy uprzytomnimy sobie nasze położenie geograficzne na tle tych przeogromnych perspektyw przyszłości, odrazu rzucą nam się w oczy te wszystkie przyczyny historyczne, które spowodowały wydarcie nam w przeszłości kraju naszego przez mocarstwa ościenne, tudzież niestygnące ich zapały do ponownego zapanowania nad nim. Tu właśnie — chciałoby się wierzyć — w tej dziedzinie gospodarczej leży wyśpiewany przez wieszczów naszych mesjanizm kraju naszego, który, jak ogniwo w łańcuchu narodów świata, łączy Wschód z Zachodem.

Polska swem ciałem terytorjalnem legła na największym odcinku linji wodnej Bałtyk — morze Czarne i w tem tkwi jej geograficzne i cywilizacyjne znaczenie. Polska staje się więc najrealniejszą, jak oś globu ziemskiego, osią handlową Europy, regulującą jej ruch rozwojowy.

## DROGI WODNE W POLSCE.

Zapytać się musimy, co Polska czyni obecnie, by zadania swe historyczne ująć w plan ścisły, by realizować i technicznie rozwiązywać wielką ideę kraju naszego, łączącą dwa morza, dwa dalekie światy?

Z dumą tu podkreślić należy, że polska myśl państwowa zadania te ujęła konkretnie w zaraniu odrodzenia naszego. Bardzo być może, że pewnym impulsem ku temu byli Niemcy, którzy podczas okupacji, nie tracąc czasu, przystąpili do badań nad połączeniem Bałtyku przez Niemen i Prypeć z Ukrainą, w myśl projektu ks. Ogińskiego. Jest rzeczą znamienną, że projekt ten w dalszym ciągu omijał najżywotniejsze interesy Polski współczesnej, miał natomiast w pierwszym rzędzie służyć interesom Niemiec.

Wyrazem polskiej myśli państwowej o konieczności rozbudowy dróg wodnych w kraju była uchwała Sejmu z dn. 9 lipca 1919 r. o budowie trzech kanałów w Polsce. Wyrazem zaś akcji społecznej było powołanie do życia „Syndykatu Bałtyk — morze Czarne“. Realnym czynem tego Syndykatu było przedewszystkiem wydanie w kilku językach specjalnego prospektu, omawiającego drogi wodne w Polsce, w którym został podany szczegółowy plan techniczny, ekonomiczny i finansowy kanału węglowego Śląsk—Gdańsk, opracowany przez gen. J. Lipkowskiego oraz inż. Tadeusza Tillingera.

Autorzy projektu widzą dwie zasadnicze arterje wodne w Polsce, które organizm państwa naszego musi w sobie rozwinąć, aby zdobyć fizyczne niejako warunki swego istnienia.

Pierwszą arterją jest kanał wewnętrzny, zamknięty w granicach kraju, łączący Śląsk z Gdańskiem. Znaczenie jego jest niewątpliwie duże dla całej zachodniej połaci państwa, główny zaś cel jego, to umożliwienie wywozu węgla śląskiego na morze, na konkurencyjne rynki zewnętrzne.

Drugą arterją jest kanał o znaczeniu międzynarodowem, łączący Bałtyk poprzez Wisłę, Bug, Prypeć i Dniepr z morzem Czarnem.

Inicjatorzy tych technicznie już opracowanych projektów słusznie utrzymują, że kanał drugi ma nieskończenie większe znaczenie dla państwa naszego, niż pierwszy, lecz — mówią — ponieważ znaczny odcinek jego przecina terytor-

jum Rosji, więc ze względów politycznych jest on obecnie nie do urzeczywistnienia. Odroczono przeto myśl realizacji kanału tego ad calendas greacas i przystąpiono do realizowania kanału pierwszego. W tym celu powstała w styczniu 1925 r. „Sp. Akc. Drogi Wodne w Polsce".

Podług obliczeń wzmiankowanego prospektu, koszt kanału pierwszego, licząc koszta pracy i materjałów po cenach przedwojennych, wynosi około 58 miljonów dolarów. Czy Polska może pozwolić sobie na tak olbrzymią inwestycję? Wątpimy. Proces akumulacji oszczędności narodowych jest tak powolny, iż wobec palących potrzeb budownictwa mieszkaniowego, meljoracji rolnej, obrony państwowej etc., nie widizimy żadnej realnej możliwości skierowania własnych kapitałów na cele budowy kanałów.

Jest tylko jedna droga, wiodąca do tych celów: finansowanie ich za pomocą pożyczek zewnętrznych.

Z tego punktu widzenia wyrażamy przekonanie, że arterja druga ma większe szanse na sfinansowanie przez zagraniczne rynki pieniężne, aniżeli arterja pierwsza. Ostatnia bowiem, umożliwiając wywóz naszego taniego węgla zagranicę, staje się groźnym konkurentem dla węgla angielskiego i niemieckiego. Czyż wobec takich perspektyw dopuszczą kiedykolwiek giełdy pieniężne londyńskie i berlińskie do sfinansowania pożyczki, przeznaczonej na ten cel?

Pozostaje zatem kwestja sfinansowania kanału drugiego. Tutaj odrazu kłębi się przed nami polityczny węzeł gordyjski, przed którego rozwiązaniem zwykliśmy a priori pasować, jak to uczynił już omawiany Syndykat. Czy wolno nam jednak pasować, czy wolno uprawiać strusią politykę wobec trudnych i zawikłanych spraw, gdy chodzi o nasze jutro, o trwały byt państwowy?

## NIEMIECKIE DROGI WODNE NA WSCHÓD.

Pochłonięci polityczną odbudową państwa naszego, nie zwracamy należytej uwagi na te mało sensacyjne, lecz głębokie przemiany, jakie za-

chodzą w układach gospodarczych otaczających nas narodów.

Niemcy, jak wiadomo, ponieśli podczas wojny niczem niepowetowaną klęskę w swym „Drang nach Osten“ po linji Bagdadzkiej drogi żelaznej. Anglicy osiągnęli wówczas swój cel, burząc wieloletnie prace i plany swych światowych współzawodników.

Klęska ta bynajmniej nie zniechęciła Niemców do szukania innych dróg, nikt bowiem na świecie nie potrafi w nich zabić organicznych niejako dążeń do pochodu gospodarczego na Azję Mniejszą, Persję, Chiny, Indje i t. d. Zbici z drogi kolejowej, nad którą mieli dominować, poczęli torować sobie drogi wodne, pod wieloma względami dogodniejsze i tańsze.

Jedna z nich, to arterja Ren — Dunaj — morze Czarne; druga zaś, to Bałtyk — Wołga — morze Kaspijskie.

Pierwsza z nich bierze swój początek w porcie Rotterdam w Holandji i kończy się w porcie Sulina w Rumunji. Jakkolwiek w arterji tej są zainteresowane prawie wszystkie państwa europejskie, to jednak Niemcy podjęły się roli organizatora w przeprowadzeniu tej potężnej drogi nawigacyjnej, przecinającej po linji przekątnej kontynent europejski. Głównym odcinkiem tej drogi, wymagającym dużego nakładu pracy i kapitału, jest kanał Ludwika, który już od 1884 r. służył za łącznik między Renem a Dunajem, wskutek atoli swej płytkości i wąskiego koryta nie odpowiadał już wymaganiom nowoczesnym. Utworzono więc w 1921 roku specjalne przedsiębiorstwo — Rhein-Main-Donau A. G. — w celu pogłębienia i rozszerzenia tego kanału oraz wykorzystania jego śluz dla wybudowania szeregu elektrowni. Kosztorys robót obliczono na 175 miljonów dolarów, termin zaś ukończenia wyznaczono na r. 1932. Od samego początku Niemcy rozwinęły silną propagandę w Anglji i w Ameryce w celu uzyskania pożyczki na sfinansowanie robót. Kilka lat, bo do 1925 r., rząd Rzeszy, przy udziale prywatnych kapitałów niemieckich, zmuszony był własny-

mi funduszami popierać budowę kanału. Z największem zainteresowaniem śledziła przebieg tych prac Anglja, albowiem z chwilą otwarcia tej transeuropejskiej drogi wodnej porty angielskie stałyby się bazą dla wszystkich towarów, idących z międzynarodowych rejsów morskich do państw naddunajskich oraz do Rosji południowej, na Kaukaz, do Turcji i Azji Mniejszej. Arterja ta ma przepuszczać statki o pojemności 1500 ton i roczny jej obrót ładunkowy obliczono na 10 miljonów ton. Z tego też względu Anglja zawarowała sobie w traktacie angielsko-niemieckim, podpisanym w dniu 2 grudnia 1924 r., prawo swobodnej żeglugi towarowej na Dunaju.

Dopiero po wprowadzeniu planu Dawesa zainteresowali się finansiści międzynarodowi doniosłością tej arterji wodnej i, poczynając od 1924 r., bankierzy wiedeńscy, hamburscy i nowojorscy poświęcili jej specjalne studja. Trwałe zabiegi Niemców uwieńczyły się w październiku 1925 r. pożyczką amerykańską w wysokości 20 miljonów dolarów, sfinansowaną przez domy bankowe Lee, Higginson et Co. oraz J. Henry Schroder Banking Corporation.

Inicjatywa Niemiec znajduje gorące poparcie ze strony wszystkich państw naddunajskich. „Międzynarodowa komisja Dunaju", złożona z przedstawicieli państw: Anglji, Francji, Italji, Bawarji, Wuertembergji, Austrji, Czechosłowacji, Jugosławji, Bułgarji, Węgier i Rumunji — energicznie rozwija swą działalność w kierunku regulacji całego dorzecza. Poszczególne państwa pod presją owej Komisji rokrocznie wydają znaczne sumy na roboty hydrotechniczne, związane z usprawnieniem żeglugi dunajskiej.

O ile arterja wodna Ren — Dunaj jest przedsiębiorstwem umiędzynarodowionem, pozostającem pod kontrolą wszystkich prawie państw europejskich, z której więc Niemcy mogą korzystać narówni z innemi państwami, o tyle druga arterja, Bałtyk — Wołga — m. Kaspijskie, miała w sobie coś z roboty kreciej, kiedy zaczęto z niej korzystać.

Państwo Sowietów staje się dla nas, Polaków, krajem

zupełnie już egzotycznym. Gdy bowiem przed wojną mogliśmy rościć sobie słuszne pretensje do miana rzeczoznawców we wszystkich sprawach, dotyczących Rosji, to obecnie, po kilku latach separacji, jesteśmy bardziej oddaleni od niej, niż jakikolwiek inny naród zachodni. Największe nadzieje na współpracę gospodarczą z Sowietami budowały, jak wiadomo, Niemcy. W rok po uruchomieniu robót na kanale Ludwika, więc latem 1922 r., ukazały się na Wołdze poraz pierwszy dwa statki niemieckie, obsadzone załogami wyłącznie niemieckiemi i załadowane towarami niemieckimi. Płynęły one do m. Kaspijskiego tajemniczo, niemal chyłkiem, omijając większe przystanie, jakgdyby chciały uniknąć wszelkiego rozgłosu. Prasa sowiecka zachowywała o nich grobowe milczenie; pojawiły się w niej tylko głuche wiadomości o utworzeniu sowiecko-niemieckiej Sp. Akc. dla Handlu ze Wschodem, z kapitałem zakładowym w markach niemieckich oraz z siedzibą zarządu w Hamburgu. Wielką jednak przeszkodą w rozwoju handlu ze wschodem był zaniedbany i zniszczony kanał Marjiński, który łączy zatokę Fińską z Wołgą. Rząd sowiecki, nie licząc się z trudnościami budżetowemi, wyasygnował znaczne sumy na doprowadzenie kanału do stanu, umożliwiającego żeglugę większym statkom. W tym samym czasie zjawiają się w Leningradzie przedstawiciele pewnej firmy amsterdamskiej (było to w okresie ucieczki kapitałów z Niemiec do Holandji) i proponują swą pracę oraz materjały na odbudowę kanału Marjińskiego na dogodnych warunkach kredytowych. Pewna jednak kwota pieniędzy ze strony rosyjskiej była potrzebna niezwłocznie. Zbiera się tedy „Ispołkom" leningradzki i wydaje postanowienie, by wszystkie przedsiębiorstwa handlowo-przemysłowe, które korzystają z żeglugi na kanale Marjińskim, wniosły tytułem zaliczki za swe przewozy pewne kwoty na rzecz odbudowy kanału. W taki więc sposób znalazły się pieniądze (w okresie dewaluacji) i rozpoczęto roboty remontowe.

Godną jest zaiste najwyższego podziwu przedsiębior-

cząść Niemców, którzy, nie przebierając w środkach, tak umiejętnie potrafili wykorzystać panujące w Rosji stosunki.

W związku z tym tryumfem Niemiec wytworzyła się wówczas bardzo znamienna dla rywalizacji angielsko-niemieckiej sytuacja. Podczas głośnego ultimatum Cursona, kiedy ogólnie spodziewano się wszczęcia działań wojennych, rozeszła się w Rosji wiadomość, iż rząd sowiecki udzielił Anglji koncesje na eksploatację całej flotylli wołżańskiej. Wiadomość ta jak grom raziła wszystkie umysły, zarówno komunistyczne, jak i antykomunistyczne. Jedni nie posiadali się z radości, widząc w tem początek końca władzy sowieckiej, drudzy drętwieli z trwogi. Po pewnym czasie władze oświadczyły oficjalnie, że istotnie pertraktacje takie toczyły się, jednak sprawa koncesji nie doszła do skutku.

Nasuwa się pytanie: czego Anglja szukała na Wołdze? Jedyną odpowiedzią może być przypuszczenie, iż tak samo, jak swego czasu po linji kolejowej Berlin — Bagdad, tak i obecnie po wodnej linji Leningrad — Azja Mniejsza, Anglja pragnie paraliżować swobodę ruchu handlowego Niemiec.

Tak więc areną światowej walki pomiędzy Wielką Brytanją a Niemcami o drogi komunikacyjne na Wschód stała się Rosja, przy bezwiednym, czy też może świadomym udziale władzy sowieckiej. O faktach tych musimy pamiętać i wyciągać z nich odpowiednie wnioski, albowiem na wołżańskiej linji Niemcy — Azja leżą i nasze porty Gdynia i Gdańsk.

Niemcy, w których wojna, klęski i komunizm nie zdołały zabić wielkiej idei silnego, światowego mocarstwa, dążą zatem dwiema drogami na wschód, gdzie pragną znaleźć tereny dla eksportu swych wyrobów oraz importu surowców. Czy można im odmówić słuszności? Idą po linji najmniejszego oporu, po linji, wytkniętej przez samą przyrodę.

Nie wolno nam jednak zapominać, że na tej linji pochodu niemieckiego znajduje się nasz kraj. Polska stanęła na szlakach niemieckich, jak niebosiężna góra, którą tylko ominąć można, nigdy zaś przekroczyć.

Omijają też Niemcy Polskę, uprzedzają ją i z dróg handlowych usuwają. Całe tomy zażaleń na trudności komunikacyjne mogliby napisać nasi kupcy, którzy via Rumunja pragnęli nawiązać stosunki z Turcją. A tam właśnie, u bram Azji, leży wierzchołek trójkąta, którego boki opierają się jeden na Renie i Dunaju, drugi na Wołdze, opanowanych już częściowo i wytrwale nadal przez Niemców opanowywanych. Jesteśmy jakgdyby w ostrym kącie rozwartych nożyc, gotowych każdej chwili do odcięcia nam zewnętrznych dróg handlowych. Jak wielką wagę przywiązują Niemcy do dróg wodnych, świadczy fakt domagania się z ich strony jeszcze w 1925 r., podczas rokowań o układ handlowy, prawa pełnej swobody żeglugi niemieckiej na polskich drogach wodnych śródlądowych. Oczywiście zaproponowali nam wzajemność. Nie wiemy, jak ta sprawa została rozwiązana w ostatniej redakcji układu handlowego, nie ulega jednak wątpliwości, że delegacja nasza miała trudny przed sobą egzamin, by zadość uczynić dyplomatycznej zasadzie wzajemności, nie narażając przytem naszych interesów państwowych na ewentualne szkody.

Jeżeli Polska nie znajdzie swych własnych, krótszych i tańszych, dróg do rynków wschodnich i południowych, będzie miała na zawsze ograniczone możliwości swego rozwoju ekonomicznego, będzie też śmiertelnie zagrożoną w swych podstawach państwowych, narodowych i cywilizacyjnych.

Na szczęście Polska posiada takie geograficzne atuty, ma tak wielkie możliwości stworzenia swych własnych dróg komunikacyjnych, iż przy odpowiedniem wyładowaniu inicjatywy i energji może w znacznej mierze sparaliżować dążenia Niemiec do wyeliminowania jej z międzynarodowych dróg handlowych. Atutem takim jest arterja Wisła — Dniepr — morze Czarne.

## WSPÓŁPRACA POLSKO-SOWIECKA NA TERENIE DRÓG WODNYCH.

W obliczu powyższych zadań gospodarczych, stojących przed Polską, należy przedewszystkiem postawić kwestję naszego stosunku do Rosji — takiej, jaką ona jest dzisiaj. Najważniejsza bowiem polska arterja wodna wrzyna się terytorjalnie w ziemie Białorusi i nadewszystko Ukrainy. Zdajemy sobie przytem doskonale sprawę, że — jak trafnie powiedział George Bernard Shaw: „no offensive truth is properly presented unless it causes irritation“ — żadna niemiła prawda nie jest należycie przedstawiona, o ile nie wywołuje rozdrażnienia. Prawdą zaś w naszem mniemaniu jest to, że Polska dzisiaj już musi znaleźć pewien modus vivendi, który pozwoliłby nam, łącznie z centralnym czy poszczególnymi rządami Związku Sowieckiego, przystąpić do budowy kanału Bałtyk — morze Czarne.

Jeden jest dla nas imperatyw: chłodna i rozważna myśl o naszym interesie państwowym. „Rządzić, to znaczy przewidywać“ — kłaść fundamenty w dniu dzisiejszym dla jutra i przyszłości. Sam fakt naszego gospodarczego porozumienia z Sowietami na gruncie interesów komunikacyjnych o znaczeniu międzynarodowem, przyczyni się w większym stopniu do pacyfikacji Europy, niż najsolenniejsze pakty gwarancyjne.

Czy możliwą jest jednak współpraca z naszymi sąsiadami wschodnimi? W odpowiedzi na to pytanie należy zdać sobie sprawę z tej ewolucji polityczno-ekonomicznej, jakiej uległy Sowiety w czasach ostatnich. Gdy w 1925 r. podjęliśmy inicjatywę realizacji kanału wodnego wespół z Sowietami, były one wówczas nastawione na zgoła inną linję postępowania w swych stosunkach międzynarodowych. Był to jeszcze okres, zapoczątkowany w 1918 r. przez Łarina, który można nazwać okresem koncesyjnym. Bolszewicy opierali cały rozwój swej gospodarki komunistycznej na przeświadczeniu, że skoro zapewnią kapitalistom zagranicz-

nym lukratywne dochody na terenie swych przedsiębiorstw, kapitał nie będzie mógł się oprzeć pokusom i w myśl zasady, rządzącej kapitałem, popłynie automatycznie tam, gdzie znajdzie najlepszą rentowność. Słuszne te niezawodnie przesłanki uczyniły z Rosji pole doświadczalne dla przedsiębiorców wszystkich narodowości świata, którzy, nie angażując zbyt wielkich kapitałów, poczęli jednak rozwijać intensywną działalność przemysłowo-handlową i nawet bankową w ścisłej współpracy z rządem sowieckim na zasadach koncesyjnych.

Kapitalistyczna gospodarka wszakże z wielkim tylko trudem dostosowywała się do sowieckich norm prawnych, zawodowych i obyczajowych, do całej tej atmosfery permanentnej rewolucji, by w końcu dojść do przekonania, że w warunkach reglamentacji sowieckiej normalna i wydajna praca jest niemożliwą. Zaczęły się więc rozwiewać złudzenia co do możliwości pogodzenia dwóch odmiennych systemów gospodarowania. Ze złudzeń tych wypłynęły bardzo realne wskazania dla obu stron. Kapitaliści zagraniczni, wycofując się stopniowo z bezpośredniej działalności na terenie Rosji, przeszli na pozycje swych własnych gospodarstw narodowych, by stąd utrzymywać stosunki handlowe z Sowietami w charakterze eksporterów wyrobów przemysłu oraz importerów surowców rosyjskich. Bolszewicy zaś widząc, że nie otrzymują kapitałów zagranicznych w takich ilościach, na jakie liczyli, i tracąc ostatecznie nadzieję na większy ich dopływ, zajęli zaczepne i aroganckie stanowisko wobec pracujących już w Rosji koncesjonarjuszy.

Do zajęcia takiego stanowiska przyczyniły się dwie okoliczności. Pierwsza z nich polegała na tem, że po kilku latach dobrych urodzajów, gospodarka sowiecka zaczęła się wzmacniać, powodując uregulowanie budżetów państwowych i samorządowych oraz stabilizację waluty. Silna w okresie kilku lat waluta sowiecka, chroniona wyjątkowemi zarządzeniami rządu centralnego, wytworzyła w umysłach bolszewików miraż wszechmocnego czerwońca, któ-

ry miał zastąpić w zupełności kapitał zagraniczny w ich pracy nad rozwojem sił wytwórczych Rosji.

Druga okoliczność, która umocniła stanowisko Sowietów w ich stosunkach międzynarodowych, to doświadczenie przemysłowo-handlowe, nabyte przez szerokie warstwy administracji bolszewickiej podczas współpracy z zagranicznymi koncesjonarjuszami. Poczęli oni uświadamiać sobie, że praca gospodarcza może się odbywać tylko w rygorze organizacyjnym takim, w jakim została ona wiekami ukształtowana w gospodarce kapitalistycznej. Poznosili więc stopniowo wszystkie instytucje robotnicze i społeczne, rządzące chaotycznie przedsiębiorstwami sowieckiemi i na ich miejsce manowali odpowiedzalnych osobiście kierowników ze zwykłym, podległym im aparatem administracyjnym. Rezultatem tej gospodarczej kontrrewolucji, tego oddemokratyzowania życia przemysłowo-handlowego, był, jak się spodziewać należało, znaczny krok naprzód w kierunku wzmożenia wydajności pracy i zwiększenia produkcji. Podkreślić też należy, że bolszewicy nie szczędzili żadnych wysiłków ani wydatków, aby wykorzystać doświadczenia świata zachodniego w dziedzinie naukowej organizacji pracy. Organizując u siebie instytut naukowej organizacji, zapełnili go fachowcami, sprowadzonymi z Niemiec i z Ameryki.

Ten kilkoletni okres współpracy gospodarczej ze światem zewnętrznym — z Niemcami, Anglikami, Francuzami, Amerykanami, Czechami, Włochami, Japończykami, Szwedami, Holendrami i t. d. — w najmniejszym tylko stopniu z Polakami — wytworzył w Sowietach taki nastrój, że udzielanie koncesji kapitalistom zagranicznym stało się rzeczą zbędną, a nawet szkodliwą, gdyż z jednej strony koncesje nie wlewały do Rosji dostatecznej ilości kapitału, z drugiej zaś — były czynnikiem fermentacyjnym dla szerokich mas ludności w kierunku odwrotnym od bolszewizmu.

Obecnie też, od chwili powzięcia koncepcji „piatilietki“, bolszewicy zarzucili już złudzenia koncesyjne i całą siłą pary poczęli realizować o własnych siłach swe światoburcze idee

gospodarcze. Okres obecny, w odróżnieniu od okresu koncesyjnego, można nazwać okresem kontraktowym. Stwierdzić należy, że w tej zmianie polityki ekonomicznej dokonał się tylko zwrot do poglądów i zasad Lenina. Pamiętne są jego pierwsze wystąpienia, w których, nie mówiąc nic o koncesjach i nie licząc na nie, jedyną możliwość podźwignięcia i rozwoju gospodarki komunistycznej upatrywał w specjalistach zagranicznych. Zapowiadał on, że bolszewicy nie poskąpią żadnych ilości złota, aby należycie opłacić tych ludzi, którzy się zgodzą rozbudowywać w ich państwie wytwórczość dóbr materjalnych według najnowszych zdobyczy nauki i techniki.

Dziś bolszewicy w całej pełni urzeczywistniają testament Lenina. Rolę tych specjalistów zagranicznych grają prawie wyłącznie i bezkonkurencyjnie Amerykanie. Pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim — pomiędzy tymi dwoma, tak odrębnymi organizmami gospodarczymi, tak krańcowymi ustrojami politycznymi, dwoma biegunami cywilizacji — nawiązała się tak bliska współpraca, jaka nigdy jeszcze nie łączyła bolszewików z żadnym innym narodem, nawet z Niemcami. Współpraca ta, polegająca na t. zw. „pomocy technicznej“ ze strony Amerykanów, w prostej linji zmierza do tego, że — jeżeli potrwa lat kilka i odbywać się będzie w tak przyspieszonem tempie, jak obecnie — Sowiety uniezależnią się pod względem przemysłu swego od reszty świata i ponadto staną się pod wieloma względami najgroźniejszym konkurentem Ameryki na rynkach światowych.

W szeregu artykułów w „Dniu Polskim“ wykazaliśmy, jak ten proces zapładniania bolszewików przez inicjatywę, technikę i organizację amerykańską rozprzestrzenia się na wszystkie najważniejsze dziedziny gospodarki sowieckiej. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu niezawodnie rolnictwo. Począwszy już od 1922 r. Amerykanie swą wiedzą i doświadczeniem bezpośrednio pchają rolnictwo sowieckie ku „sow-

chozom“ i „kolchozom“, jako tym formom masowej, technicznie udoskonalonej, a więc i taniej, produkcji zbóż. Niezależnie bowiem od doktryn bolszewickich, Ameryka na drodze czysto kapitalistycznej poszła w tym samym kierunku rozwoju swego rolnictwa, w kierunku organizowania olbrzymich „fabryk rolniczych“. Według prasy amerykańskiej, kilkuset Amerykanów pracuje w Rosji na polu udoskonalenia jej rolnictwa.

Drugą, bodaj że ważniejszą jeszcze od poprzedniej, dziedziną współpracy sowiecko-amerykańskiej, jest irygacja Turkiestanu w celu zdobycia nowych obszarów pod uprawę bawełny. Już obecnie Sowiety redukują import bawełny zagranicznej, a za lat cztery mają doprowadzić swoje plantacje do tak wielkiej produkcji, że zaczną eksportować ją na rynki zewnętrzne. Grupa specjalistów amerykańskich, na czele z p. A. P. Davis‘em, od roku już rozprowadza wody Amu Darji i Syr Darji po pustyniach turkiestańskich. Ten sam p. Davis jeszcze za czasów carskich badał możliwości irygacyjne tego kraju. Dziś kontynuuje tylko to, co jeszcze przed wojną było zapoczątkowane.

Trzecią dziedziną gospodarki sowieckiej, w której Amerykanie zaczynają brać udział, to kolejnictwo. Czwartą — przemysł węglowy, piątą — przemysł metalurgiczny, szóstą — automobilowy i traktorowy, siódmą — cementownie, ósmą — budownictwo mieszkaniowe, wreszcie idą szosy, elewatory zbożowe, przemysł elektrotechniczny i budowa elektrowni.

Największą elektrownię na świecie, t. zw. „Dnieprostroj“, która wykorzysta energję porohów dnieprowych, buduje znakomity inżynier amerykański, pułk. Hugh L. Cooper. A przecież projekt i kosztorys takiej elektrowni jeszcze w 1912 r. przedstawił jeden z inżynierów Polaków (nazwiska nie pamiętam) pewnej firmie amerykańskiej w Moskwie!

Tak więc współpraca sowiecko-amerykańska na terenie gospodarczym Rosji jest faktem o tak olbrzymiem zna-

czeniu międzynarodowem, że zasługuje na najgłębsze studja nietylko ekonomiczno-polityczne, ale i socjologiczne.

W granicach interesującego nas obecnie zagadnienia, w granicach naszej arterji wodnej Bałtyk — morze Czarne, współpraca sowiecko-amerykańska może być dla nas czynnikiem tylko dodatnim. O ile jeszcze pięć lat temu trudno byłoby propagować ideę tę na terenie Ameryki, o tyle dziś Amerykanie sami ułatwiają nam to zadanie, nikt bowiem lepiej od nich nie orjentuje się obecnie w możliwościach współpracy z Sowietami.

Jest atoli jedna okoliczność, której właściwe oświetlenie powinno być niewzruszoną podstawą naszych stosunków z Sowietami. Chodzi tu o rozgraniczenie dwu pojęć: bolszewizmu międzynarodowego (działalność Kominternu) oraz rządu sowieckiego.

Cała ludzkość winna Rosji nieskończoną wdzięczność za doświadczenia, którym uległo żywe ciało narodu rosyjskiego. Bolszewizm jest chorobą ciężką, wymagającą środków leczniczych zdecydowanych, radykalnych. Niema więc w akcji zwalczania go takich represji, takich środków zaradczych, które nie byłyby usprawiedliwione przed historją i ludzkością. *Dlatego też wszelkie przejawy bolszewizmu w Polsce powinniśmy zwalczać bezwzględnie, nie licząc się z żadnemi opinjami różnych wyroczni zagranicznych.* Rzecz prosta, oprócz doraźnej walki z bolszewizmem, niemniej, a może nawet więcej, potrzebną jest akcja oświatowa, publicystyczna, której brak u nas jest dotychczas jeszcze niepokojący.

Zupełnie inną sprawą, niż zwalczanie bolszewizmu polskiego, jest nasz oficjalny stosunek do rządu sowieckiego. Są to dziedziny, formalnie rzecz biorąc, całkiem odmienne, co zresztą Sowiety przy każdej sposobności podkreślają, zasłaniając się Kominternem. Jeżeli chcemy realnie traktować nasze stosunki wzajemne, musimy stanąć na takim właśnie punkcie widzenia. Będzie to zadośćuczynienie zasadzie

wzajemności dyplomatycznej, będzie to może nawet i walka, ale walka równą bronią. Wszak ta sama Ameryka, która jeszcze kilka lat temu bagatelizowała u siebie ruch bolszewicki, dziś — w okresie najbliższej kooperacji z Sowietami — wypowiedziała mu bezwzględną walkę.

Po tem pobieżnem naszkicowaniu stosunków gospodarczych w Sowietach, z których wynika, że w tej czy innej formie stosunki te coraz więcej zazębiają się z gospodarką światową, zwłaszcza zaś z amerykańską, dochodzimy do odpowiedzi na postawione już przez nas pytanie: Czy możliwą jest współpraca z naszymi sąsiadami wschodnimi? — Nietylko jest możliwą, ale nawet konieczną — przedewszystkiem na terenie wspólnych naszych dróg wodnych. Sądzimy bowiem, że Sowiety są niemniej od nas zainteresowane w umiędzynarodowieniu żeglugi na Dnieprze. Wszakże pszenica ukraińska i ruda krzyworoska, to ładunki jakby stworzone na przewóz drogami wodnemi, a nie kolejowemi. Towary te będą też prawdopodobnie na nieokreślenie długi okres czasu przedmiotem naszego importu. Zwykła kalkulacja handlowa każe nam przywozić je z Ukrainy, zamiast z Ameryki i ze Szwecji. Niezależnie od niższych kosztów przewozu, łatwiej nam będzie płacić Rosji naszymi towarami, aniżeli forsować nasz eksport wyrobów przemysłowych do dwóch wzmiankowanych państw. Jeżeli zaś z drugiej strony Szwecja mogłaby się wyrzec naszego węgla, gdybyśmy nie brali jej rudy, to przecież przy rozwoju naszych dróg wodnych zdobywamy nowe rynki zbytu wewnątrz kraju dla węgla śląskiego. Kresy wschodnie nie znają jeszcze tego węgla, a o drzewo opałowe trudniej tam z roku na rok. Na Polesiu — już po lesie! Był las — pozostały jego szczątki. Jeżeli są jeszcze leśne masywy, to bezdroża utrudniają i podrażają ich eksploatację i dowóz do dróg komunikacyjnych.

Że Sowietom winno zależeć niemniej od nas na połączeniu morza Czarnego z Wisłą, dowodzi też i ten fakt, że najniezawodniej za lat kilka na morzu Czarnem pojawi się bawełna turkiestańska lub zakaspijska. Z chwilą bowiem

połączenia kanałem Wołgi z Donem, o czem zapowiada już Krzyżanowski, sędziwy twórca sowieckich planów gospodarczych, bawełna sowiecka będzie wychodziła z morza Czarnego w dwóch kierunkach: na południe, przez Bosfor do morza Śródziemnego i na północ, przez Dniepr i Wisłę do morza Bałtyckiego.

Wreszcie nie zarzucają też bolszewicy starej myśli rosyjskiej o połączeniu wód Dniepru z Dźwiną. Wszystkie te jednak plany wymagają przebicia kanału spławnego wśród porohów dnieprzańskich, albo też przeprowadzenia specjalnego kanału, któryby biegł równolegle z tym odcinkiem kataraktalnym.

A czy Polsce połączenie Wisły z Dnieprem jest potrzebne? Pytanie to jest tak banalne, iż można je pozostawić bez odpowiedzi. Pragnęlibyśmy tylko podkreślić jeden moment tej odpowiedzi, mianowicie odwodnienie Pińszczyzny, uregulowanie Prypeci oraz wybudowanie kanału. Są to sprawy o tak doniosłem znaczeniu nietylko gospodarczem, ale i politycznem dla państwa naszego, że gdyby nawet ostatecznym ich celem nie było otwarcie tej wielkiej arterji wodnej z Bałtyku do morza Czarnego, usprawiedliwiłby już sam w sobie wszelkie nasze wysiłki i wydatki. Nie można się wprost oprzeć wrażeniu, że nadeszła już ostatnia godzina, aby prace te rozpocząć w jaknajszybszem tempie. Wszakże ludność kresowa, żyjąca dotąd przeważnie z gospodarki leśnej, zwęża z roku na rok teren zastosowania swej pracy i staje się wskutek nędzy elementem coraz bardziej niebezpiecznym dla rozwoju państwa. Tu żadna polityka t. zw. „państwowo-twórcza", polityka tolerancji narodowościowej, nic zdziałać nie będzie mogła, jeżeli tę naszą „kolonję" egzotyczną nie zwiążemy z „metropolją" najtrwalszemi ogniwami gospodarczemi. Żadne hasła polityczne, patrjotyczne, państwowe, nie znajdą w tych odciętych od kultury masach ludzkich oddźwięku, dopóki Polska nie da im dobrobytu i jednocześnie z nim należytej oświaty. Dotychczasowy nasz stosunek gospodarczy do tej ludności — to stosunek

jakgdyby eksploatatorów do tuziemców kolonjalnych. Niestety, jakże często tymi eksploatatorami są międzynarodowi kupcy i przedsiębiorcy drzewni, którzy korzystają z opieki prawnej państwa polskiego, aby, jednocześnie z dewastacją naszego majątku narodowego, wzniecać w nieoświeconym robotniku kresowym niechęć, nieufność i nienawiść do wszystkiego, co polskie, co „pańskie“!

W tych warunkach przeprowadzenie naszej arterji wodnej, uczynienie z niej międzynarodowego szlaku handlowego, pobudowanie przystani i nowych miasteczek, uczyniłoby w niedalekiej przyszłości z kresów wschodnich kwitnący dobrobytem kraj, któryby już nie ciążył swem zacofaniem nad stanem kulturalnym całej Polski. Przeciwnie, zyskalibyśmy kilka miljonów nowych konsumentów dla przemysłu polskiego, odkrylibyśmy nowe tereny osiedleńcze, któreby wchłonęły znaczną część dotychczasowej naszej emigracji.

Dziś, jak przed laty pięciu, konjunktura międzynarodowa kształtuje się najkorzystniej dla zapoczątkowania tej akcji. Powiedziałbym, że widoki są obecnie nawet lepsze, niż przedtem. Dziś nie potrzebujemy się oglądać na jedno tylko źródło kapitału — na Amerykę. W naszej arterji wodnej są zainteresowane bezpośrednio państwa europejskie, jak Szwecja, Norwegja, Holandja, Belgja, Francja, Anglja, które dysponują już znacznymi kapitałami dla inwestycji. Od nas, od Polski, świat oczekuje tylko inicjatywy. Jeżeli jej nie wykażemy w czasie najbliższym, jeżeli znowu zaprzepaścimy kilka lat pracy narodowej, niezbędnej dla wzmocnienia naszego stanowiska gospodarczego wśród narodów świata — to szanse Polski maleć będą z roku na rok.

Kto ma oczy otwarte na te gigantyczne przejawy twórczości gospodarczej po obu stronach naszych granic, kto śledzi, z jak wściekłą iście zawziętością pracują nasi sąsiedzi nad umacnianiem ich mocarstwowego stanowiska w świecie, ten z lękiem spoglądać musi w przyszłość Polski. Wysiłek rządu naszego na rozbudowę Gdyni jest tylko ułamkiem tych sił wytwórczych narodu polskiego, które w nim tkwią

ukryte, zaniedbane i niewyzyskane. Potrzebny jest na gwałt jakiś psychiczny katalizator, któryby tę marnotrawioną energję wyładował we wszystkich zagrożonych kierunkach gospodarstwa naszego, a nadewszystko na uczynienie z Gdyni portu węzłowego pomiędzy wschodem i zachodem, południem i północą.

**Aleksander Laczysław.**

---

# BOLSZEWIZACJA SZTUKI.

Dusza ludzka nawet u najniżej stojących ras pragnie piękna i to przyrodzone pragnienie stara się wyrazić lub zaspokoić, piękno odczute utrwalić, brakujące stworzyć; na tem dążeniu polega i jest niem wywołany cały olbrzymi dział czynności ludzkiej, noszący ogólne miano — sztuki.

Nie będziemy się tu zastanawiali nad głębią mistyczną sztuki, nad jej stanowczo transcendentalnem pochodzeniem, bo nie o sztuce jako takiej pragniemy mówić, ale tylko o dzisiejszym jej stanie. Musimy jednak stwierdzić przedewszystkiem, iż sztuka nie jest niczem innem, jak uzewnętrznieniem działalności duszy ludzkiej i w swoim całokształcie stanowi bezwzględnie miernik poziomu rozwojowego tej duszy, jej polotów i dążeń. Sztuka nietylko odzwierciedla poziom duchowy społeczeństw, odbija też ona, uplastycznia poniekąd i stan tych dusz, bo nie są to ani równorzędne, ani nawet równoległe pojęcia.

Dość rzucić okiem na przeróżne epoki historji ludzkości, aby się o tem przekonać.

Rysunek pasących się lub pędzonych jeleni, kuty przez człowieka z t. zw. „prahistorji“ na ścianach pieczary, nie wykazuje bynajmniej ani „dzikości“, ani „prymitywności“ tych ludzi, jest on nieraz nawet o całe niebo wyższy, tak pod względem techniki wykonania, jak pod względem realizmu spostrzegawczego, od dzisiejszych dzieł „poszukiwaczy nowości“; natomiast rysunek ten wykazuje spokój i pogodę ducha swego twórcy, wykazuje bezsprzecznie fakt, iż zdawał on sobie sprawę z zapomnianej dziś powszechnie cnoty, jaką jest — prawda!

Dbali też o prawdę i umieli ją przedstawić w dziełach sztuki twórcy prześlicznych posągów najstarszych dynastji

Egiptu, zaś ornamentyka budowli Babilonu czy też Assyrji, starożytnych Chin lub Indji wykazuje nam, że ludy te rozumiały symbolikę abstrakcji metafizycznych, że posiadały — może być, iż groźną i okrutną, lecz głęboką — wiarę.

Plastyka starożytnej Grecji na pierwszy rzut oka poucza nas o głębokiem poczuciu piękna, ściśle przyrodzonego i materjalnego, lecz bezwzględnie stanowiącego szczyt ideału w tej dziedzinie i dlatego słusznie klasycznem zwanego. Tutaj znamy już nietylko rzeźbę i malarstwo, lecz także muzykę i poezję i wszędzie tam ów spokój klasycznego piękna przelewa się przez wypełnione po brzegi czary technicznej możliwości sztuki.

Wieki średnie tchną we wszystkich dziedzinach sztuki religijnością i mistycyzmem, nadprzyrodzonem upojeniem szczęścia lub ukojeniem ascezy. W Renesansie przebija się w sztukach chęć połączenia pogaństwa z chrześcijaństwem, nawrót ku ziemi i jej rozkoszom, a góruje nad tem jeszcze dumna pewność siebie tryumfującej ludzkości, tyle splątanych myśli i żądz tyle, taki machjawelizm i tyle pragnień, prężących się w materjalno-duchowych sprzecznościach, że aż sztuka ówczesna gnie się pod koniec i wpada w bezmyślność baroku!

Ale te przejawy duchowości ludzkiej najwyraźniej przebijają się w architekturze. Kultura umysłowa musi tu tworzyć w pełnem świetle i powietrzu, musi tworzyć trwale, bo pragnie, by to piękno wieki przetrwało.

Tak więc, porównywując wybitniejsze style i epoki, widzimy w architekturze starożytnego Egiptu głęboką znajomość i zamiłowanie do nauk i praw przyrody, a jednocześnie wiarę w nieśmiertelność człowieka i w zmartwychwstanie, gdy w równie starożytnych zabytkach Assyrji lub Babilonu widzimy zmysłowość, pychę i ufność we własną moc i potęgę.

Grecja i Rzym, to znów zamiłowanie prawdy i piękna — wszystko tu jest zamknięte w nienaruszalnych prawach symetrji i proporcji. W architekturze tych ludów tłu-

maczy się każdy gzyms, każda kolumna czy arkada, każdy kamień posiada swój logiczny cel i swą konieczność formy, a ornament wszelki posiada nawet odpowiednią legendę dla tłumaczenia swego istnienia! Logika i porządek myśli świecą tu swe tryumfy. Zdrowy rozsądek, logika, zrozumienie przyrodzonego piękna, poczucie majestatu i potęgi państwa występują tu tak silnie, style tak są zespolone z podstawowemi zasadami porządku i ładu, że nawet najście barbarzyńców, wędrówki ludów i kilkowiekowe straszliwe wstrząsy polityczne nie są w stanie zniweczyć tej kultury, a tylko zniekształcają częściowo jej wytyczne linje. Chrystjanizm z jednej strony, z drugiej zaś rozkład, wiejący zawsze od wschodu, również piętno swe na klasycznych architekturach wywierają. Gdy więc na wschodzie cywilizowanego świata powstaje pod wpływem Azji i Grecji dziwny, ale najdokładniej duszę tych ludów malujący styl bizantyński, gdzie złoto i drogie kamienie stają się atrybutami i niemalże wykładnikami Boga, gdzie uniesienia ascezy kamienieją w sztywności majestatu, gdzie łuk romański staje się miękim, plastycznym i wyginać się poczyna w wężowe linje Indji i gdzie poważne atrium latynów przeistacza się w haremowe komnaty, to na zachodzie duchowość, uniesiona mistycyzmem i ujęta ascezą, strzela ku niebu granitowemi iglicami gotyku.

Epoka odrodzenia przerywa ekstazę ducha ludzkiego i pełnego jeszcze wizji zaświata rzuca w cielesne objęcia humanizmu. Ale bezpośredniość tradycji Rzymu i przedziwna jasność rasy łacińskiej, wśród której przemiana ta się odbywa, nie pozwalają duchowości utonąć w bagnisku materji. Logika umysłów, moc charakterów, żądza zdobyczy, sławy i wiedzy, a przedewszystkiem kult ideałów, odbijają swe piętno na dziełach sztuki tej epoki. Surowa w swych linjach architektura Rzymu przybiera się tutaj w przepych ozdób, spowija wieńcami kwiecia i draperji. I tu też tak, jak i u klasyków, tłumaczy się każdy szczegół, bo nawet pod tą nawałą pochlebstw i panegiryków, pod maską dumy i wspaniałości, logika starożytnych góruje! Tu

też widać najwierniejsze odbicie stanu duchowości ludzkiej i patrząc na gmachy renesansu — widzi się mimowoli Medyceuszów!

I dalej, z biegiem czasu, duch ludzki odbije piętno swych cech na coraz to nowszych, coraz nam bliższych i... coraz drobniejszych już — równie jak tworzących je ludziach — stylach: Tudor, Henryk II-gi, Ludwik XIV. Ludzkość trzyma się wciąż jeszcze tradycji, prawo znajduje szacunek i chociaż (jak zawsze zresztą w historji) gwałconem jest i łamanem, ale człowiek wie o tem i zdaje sobie sprawę, że powrócić do prawa musi, że musi mu wreszcie ulec.

Dopiero w stylu Ludwika XV-go widać rozmyślność złamania praw! Nietylko, że zmysłowość i rozwięzłość, lenistwo i chęć użycia przebijają się tu z każdego szczegółu, ale pierwszy raz od czasu, jak świat istnieje, prawo jest rozmyślnie łamanem i to dla jakichś nieznanych, ukrytych przyczyn. Dość zwrócić uwagę na złamanie łuków i zawieszenie ich bez racji w powietrze, na wbrew logice wyginające się linje, na nic nie wspierające podpory, zupełny zanik prostoty, a przedewszystkiem na wyzierający zewsząd— fałsz! I nic w tem znów niemasz dziwnego, boć to epoka twórców przyszłych rewolucji, epoka wykolejeńców, zwanych pompatycznie „filozofami“, okres intrygi, spisku i czającej się wszędzie zbrodni.

Jeszcze jeden raz wznioślejsze, szlachetniejsze, a przedewszystkiem czystsze pierwiastki duchowości ludzkiej zdają się brać górę: mówi się i pisze o reformie społecznej w duchu prawa i prawdy, stara się zwrócić ku religji coraz to głębiej psujące się warstwy kierownicze, lecz wszystko to jest tylko nieśmiałą próbą, lekkim szkicem i styl Ludwika XVI-go, wyprostowawszy delikatne linje, stara się filigranem swych siatek, wiązanych kokardkami, oddzielić się od groźnej rzeczywistości. Wiąże się wstążki i zawiesza girlandy, ale nie jest się w stanie związać sklepienia!...

Zewsząd nadciąga epoka ciemności, z krwawego błota wydobywają się opary zgnilizny — zmierzch cywilizacji

i kultury ducha. Napróżno Napoleon stara się wskrzesić cezaryzm Rzymu, styl empiru tak jest dalekim od klasycyzmu, jak Bonaparte od Cezarów lub Augustów! Przesada, sztuczność, a przedewszystkiem parwenjuszostwo. Siłą bagnetów na rewolucyjno-demokratyczne bagnisko zarzucony płaszcz gronostajów monarszych, brudzi się w tem zetknięciu, butwieje i rozpada w strzępy, gdy tymczasem zabójcze opary, coraz to gęstniejąc, unoszą się nad bezwzględną płaszczyzną ludowładczych krain. Tryumf liczby nad jakością, tryumf materji nad duchem, siły nad prawem— oto laury zwycięstw XIX-go wieku!

Zbiorowa duchowość ludzkości karłowacieje, zanika, zastosowywując się do poziomu demokratycznej większości, to też style tego wieku są jakby umyślnemi karykaturami piękna, tandeta seryjna w architekturze równa się tandecie seryjnej, przez programy szkolne wychowanej, tandecie umysłowej!

Jakżeż to świetnie odbija się w stylu Ludwika Filipa, stan umysłowy, cała duchowość jego epoki: pretensjonalność, arrywizm i nicość burżuazyjna, tak wspaniale ujęta przez H. Monnier'a w jego „Mémoires de Joseph Prudhomme".

Architektoniczne próby tego wieku „postępu" i szalbierstwa upodabniają się do okazów strojów tegoż okresu, boć między wielu potworkami, zrodzonymi przez „wielką" rewolucję, widzimy też i „cylinder" elegantów, „meloniki" i „dżokiejki" i wszystkie „tużurki", „wizytki", surduty i „marynarki", z których ludzkość wyskoczyć nie może, tak, jak nie może się pozbyć „nieśmiertelnych zasad 1789 roku"!

Ale panowanie integralnej burżuazji krótszem było, niźli chwila poranku! Wraz ze wzrostem wpływów międzynarodowych „kapitalistów", wraz z opanowaniem świata przez odwiecznych czcicieli złotego cielca, ukazuje się, niemal nagle, styl „nowy". Coś, co pragnie być naturalnem przez karykaturowanie natury, gdzie — dziwny z filozoficznego punktu widzenia omen — wzór dają płazy: węże,

żaby i jaszczury, a równolegle i flora bagniska: wodne anemony i algi topieliskowe; koniec XIX-go wieku obdarza nas stylem „secesji“!

Styl ten, a to też jest wskaźnikiem umysłowego kierunku ludzkości, chociaż powstaje niemal spontanicznie wśród całego zachodniego świata, a przez wielką wystawę paryską zdaje się być „uświęconym“, to jednak budowlane swoje przejawy, a więc faktyczne utrwalenie, rozsiewa wyraźnie w kierunku wschodu. Szpeci się secesyjnymi gmachami Berlin, Warszawa i wszystkie europejskich carów miasta, z zamiłowaniem stosują secesję żydzi i żydofilskie sfery.

Styl secesyjny, jeśli to brzydactwo stylem zwać się godzi, wiąże się w moralno-duchowej dziedzinie ludzkości z takimi „historycznemi“ wypadkami, jak: sprawa Panamy paryskiej, proces i heca Dreyfusa, imprezy Cecila Rodesa i tym podobne „działalności“ cywilizowanego świata!

Gdy wybuchł powszechny pożar wielkiej wojny, zdawać się mogło przez chwilę, pierwszą tylko chwilę, iż kara wystarczy dla otrzeźwienia ludzkości, że ogień strawi to śmietnisko światowe, a z popiołów świeża wyrośnie roślinność. Ale jeno złoto w ogniu się oczyszcza, inne metale bądź przepalają się, bądź czernieją i bezwartościowe tworzą stopy. Złota dusz widocznie wśród ludzkości nie było i to, co nastąpiło po wojnie, wyraziło się w tak potwornej formie, że aż ludzkość wzdychać zaczęła do straconego bagniska „przedwojennych czasów“!...

Jaką jest dzisiejsza duchowość ludzkości, jakimi są jej cele wytyczne lub ideały — tego rozważanie nie wchodzi w nasz zakres; zresztą każdy bezstronny człowiek widzi je aż nazbyt dobrze. Ale ponieważ sztuka jest odbiciem duchowości ludzkiej, więc i stan ten dzisiejsza odzwierciedla nam plastyka! W muzyce, literaturze, rzeźbie, malarstwie, a najwybitniej w architekturze mamy już „styl powojenny“, lub „nowoczesny“, jak się zaczyna nazywać.

I niech nam nikt nie tłumaczy, iż twórcy tych „arcydzieł“ szukają czegoś nowego, że nowe otwierają drogi, że

są pionierami nowych piękna przejawów! Takie twierdzenie, to bądź nieświadome zwichnięcie sumienia i samookłamywanie się, bądź blaga pyszałkowata zarozumiałych nieuków, bądź szczere, uparte twierdzenie obłąkańców, bądź wreszcie (a przyznaję, że to rzadki wypadek) umyślne, celowe urabianie pełnej snobizmu, a płytkiej, jak sama demokracja, opinji społecznej! *)

Wojna była tym legendarnym świętokradcą, zdzierającym zasłonę z posągu rzeczywistego stanu świata; wojna wykazała nam, jakie są realne instynkta wśród najbardziej „kulturalnych“ europejczyków, jakim to jest ów faktyczny poziom owych tak wychwalanych, a doszłych wreszcie do władzy „szerokich kół“ i jeszcze „szerszych“ mas — i świadomość ludzka, przyjrzawszy się swojej własnej duszy, również bez zasłony zaczęła „tworzyć“!...

Te wszystkie karykatury i ohydy sztuki, które od wojny pojawiły się na świecie we wszelkich dziedzinach działalności ludzkiej, robią wrażenie słynnych średniowiecznych obrazów „pokus św. Antoniego“, z tą tylko różnicą, że nie jest to już przedstawienie znikającej fantasmagorji, ale realna i trwała potworność.

Malarstwo daje nam szeregi wystaw i „salonów“, nic ani z rysunkiem, ani z kolorystyką nie mających wspólnego — gdzie wyraźny błąd sąsiaduje z nieuctwem, gdzie grymas sarkazmu uważanym jest za objawienie wyższego piękna, a uwydatnienie kalectwa ciał równa się chyba kalectwu dusz samych „mistrzów“. Chęć zdumienia, zadziwienia, zaimponowania, a myślimy, że częstokroć i najzwyklejsze drwiny z owej „szerokiej publiki“ są głównemi pobudkami owej twórczości. Zdarzają się najpoważniej wystawione obrazy, które czteroletnie dziecko może śmiało tworzyć.

---

*) Przedewszystkiem zaś, według naszego najgłębszego przekonania, jest to daremny wysiłek zastąpienia w literaturze i sztuce prawdziwego talentu, którego brak naszym dzisiejszym „mistrzom“, dziwactwem stylu i formy! Do tego tematu jeszcze wrócimy w jednym z następnych tomów. (Przyp. Red.).

Lecz prawdziwe niebezpieczeństwo leży w tem, iż najlepsi malarze umyślnie zniekształcają swe dzieła, bo tego żąda duch gawiedzi, opinja tłumu.

Wśród rzeźb owa poczwarność form jest już wybitnie umyślną, gdyż, aby coś rzeźbić, musi się trochę więcej znać rysunku i techniki, niźli dla normalnego dziś brudzenia płótna i ta celowość tem dobitniej podkreśla zwyrodnienie dusz. Na dziełach tych bardzo wyraźnie występuje okres spirytualizmu, który, jako normalna reakcja, przyszedł po materjaliźmie światowym, więc prym trzyma naturalnie teozofja czyli poczwarność duchów i mglistość myśli.

Ale, o ile malarstwo i rzeźba „równocześnie" znikną bez śladu przy pierwszym podmuchu odrodzenia duchowego, o ile zresztą, gdyby nawet na przekór chciały trwać, to ograniczą się do wystaw, coraz to bardziej „niezależnych", o tyle groźniej przedstawia się sprawa z architekturą! Styl „nowoczesny" na długie lata niszczy nam wszelkie perspektywy naszych miast, a trzeba przyznać, że specjalną predylekcję do tego stylu posiadła nieszczęsna, a już tak wybitnie brzydka stolica naszego kraju!

Jeden z najznakomitszych naszych budowniczych mówił, iż nie mógł zupełnie zrozumieć „rytmu" tego stylu, boć architektura, jeśli nie posiada już nic z celowości i logiki, to musi przynajmniej mieć pewien „ruch rytmiczny" form, a zrozumiał go dopiero wtedy, gdy wsłuchał się w muzykę prawdziwie murzyńskiego jazzbandu! Ten budowniczy miał odwagę to powiedzieć, a trudno chyba o bardziej upokarzającą krytykę z ust bardziej autorytatywnych. Tymczasem jednak inaczej odnosi się do tych przejawów nawet elita umysłowa społeczeństwa, bo oprócz zwyrodnienia duchowości ludzkiej i zbolszewiczenia umysłów, istnieje też i jakieś powszechne tchórzostwo, najzupełniejszy brak odwagi cywilnej u tych ludzi, którym poruczono np. zatwierdzenie planów nowych gmachów, rozstrzyganie konkursów lub dopuszczenie prac na wystawy publiczne.

Trudno przypuścić, aby człowiek, umysłowo normal-

ny i zdający sobie sprawę z tego, iż przyjmując dany projekt, narzuca go przez to samo całym pokoleniom do przymusowego oglądania, naraża całą ludzkość na przyzwyczajanie wzroku do brzydoty lub bezsensu, psuje i niweczy wiekowe nieraz wysiłki utrwalenia piękna, nie robił tego z braku cywilnej odwagi, ze strachu, by go nie uznano za zacofańca, za — wybaczcie mi to słowo — konserwatystę!...

Poza brakiem odwagi cywilnej w przeciwstawianiu się tandeckiej ohydzie, jest jeszcze i druga, gorsza strona medalu, mianowicie rozmyślny plan dewastacji dusz ludzkich, systematycznie prowadzony przez bolszewizm światowy. W robocie tej współpracują zgodnie wszystkie wywrotowe siły świata i za typowy dowód tej wspólnoty ideałów może służyć fakt, że styl „nowoczesny“ jest ulubionym stylem wszelkich demokratycznych grup społecznych, urzędowym stylem Sowietów. Najwspanialsze wydawnictwa, traktujące o nowoczesnem budownictwie, wydawane są z kolosalnym nakładem w Sowietach i... Niemczech, a następnie rozsyłane po całym świecie, wszyscy zaś eurazjaci, rodowici czy też akredytowani przez międzynarodówkę, są właśnie krzewicielami tego stylu.

I znów niech nam nie tłumaczą zapaleni obrońcy nowinek, że cały cywilizowany świat przejął się tym duchem! Przedewszystkiem „nowoczesny“ styl we Włoszech jest zabronionym, bo mądry faszyzm nie chce, by chorobliwa moda niweczyła mu na długie lata kulturę przepysznej ojczyzny; we Francji i Hiszpanji styl ten, ujęty przez naprawdę umiejętnych artystów, chociaż razi nadzwyczajnością, uległ jednak logice i zasadom budownictwa normalnego i może kiedyś przejmie się silniej cechami narodowemi i ukształtuje w coś, co nie hańbi piękna kraju. Gorzej jest w krajach skandynawskich, oraz w Holandji, Belgji i Danji — zbyt powolna umysłowość tych ludów nie umiała jeszcze pokonać tego rozkładowego prądu, ale stosunek budowli „nowoczesnych“ do ogółu normalnych domów jest wprost znikomym. Tymczasem w Warszawie jedyny nowowznie-

siony gmach, który śmiało niesie godło piękna i pogłębia tem samem nędzę duchową wszystkich innych budowli w tej stolicy odrodzonej Polski, stanął według wskazówek włoskiego konsorcjum przy ul. Moniuszki *). Wystawa Poznańska posiadała li tylko budowle w „nowoczesnym" stylu i tem właśnie ujemnie odbijała od jednoczesnej wystawy w Barcelonie.

Zaraza bolszewicka istnieje na całym świecie, boć cały świat przeszedł przez okres degeneracji demokratycznej, a bolszewizm jest naturalnym i koniecznym skutkiem „ludowładztwa". Ale kraje, gdzie tli choć iskra zdrowia duchowego, walczą z tym zalewem i walkę tę unieśmiertelniają w sztuce. Smutnym jest stan ludów, gdzie walka o piękno uważaną jest za wstecznictwo, gdzie wszystkie decydujące czynniki tolerują lub sprzyjają rozpowszechnianiu się rozkładu i w których najwybitniejsze jednostki narodu nie posiadają dość odwagi cywilnej, by precz odrzucić cisnący się z arogancją bolszewizm ducha!

Nie wiemy, co właściwie ojcowie miasta pokazują „szlachetnym" cudzoziemcom, gdy ich obwożą po stolicy naszego kraju. Nie chwalimy się chyba komunalną gospodarką, czystością ulic i domów, komfortem, elegancją spacerującej publiczności lub pięknem naturalnem krajobrazów! Prócz teatralnych dekoracji starego Rynku, gdzie na śliczny zabytek przeszłości polskiej wkroczyły wycinanki łowicko-zakopiańskie, prócz gmachów z przedrozbiorowych, Stanisławowskich czasów, musimy im przecież pokazać coś, co zrobiliśmy, m y  r e p u b l i k a n i e! Więc chwalimy się nowymi gmachami, „zdobiącymi" Warszawę pod postacią parawaników japońskich lub zakładów dla obłąkanych, np. z ul. Suchej; szaremi koszarami czy też odstraszającem więzieniem, stojącem notabene fundamentami do góry, z ulicy Górnośląskiej; gmachami banków Rolnych czy Gospodarstwa Krajowego, w których brzydota prześciga się

*) Gmach tow. ubezp. Assicurazioni Generali.

z kolosem bezsensu, cyrkiem z ulicy Wiejskiej, gdzie zasiada nasz Sejm (ten pomysł musiał powstać w głowie jakiegoś satyryka). Chwalimy się szeregiem pudeł, wyłożonych kamieniem i pomalowanych „nastrojowo" z basenem (zapewne dla celów rytualnych) pośrodku, w których schroniły się władze, kierujące nauką i... sztuką naszego kraju!...

Ale to wszystko może tym cudzoziemcom jeszcze nie zaimponować, boć takie próby cierpliwości publicznej wszędzie mniej lub bardziej często były robione, więc społeczeństwo nasze chce utrwalić na rzeczy wieczną pamiątkę, stan dzisiejszej umysłowości. Niech wiedzą obcy, niech pamiętają dalekie przyszłe pokolenia, do jakiej to „wyżyny" doszedł absurd nowinkarstwa w 12-ym roku odrodzenia Polski!

Więc Votum Narodu, największy i najwspanialszy pomnik, jakim Polska uwiecznia swą niepodległość, a zarazem wyraz hołdu kraju całego dla Boga, który go wyrwał z niewoli, Świątynia Opatrzności, budować się będzie w tymże pudełkowym, bolszewicko-antykulturalnym stylu!!!...

Dusza ludzka pragnie piękna i na jakim stoi poziomie, tak też je utrwala w dziełach sztuki. Dusza dzisiejszego naszego społeczeństwa godną być musi dzieł, które tworzy!

**Józef Tyszkiewicz.**

---

# PANEUROPA?

## MIĘDZY MŁOTEM AMERYKAŃSKIM A ROSYJSKIM.

Idea Zjednoczonej Europy nie jest w swojej istocie ani wynalazkiem wielkiego idealisty hr. Coudenhove, ani oryginalną koncepcją płomiennego pacyfikatora p. Brianda. Już państwo rzymskie, głosząc światu starożytnemu „pax romana", wychodziło z założenia jedności całego obszaru śródziemnomorskiego, którego części afrykańskie i azjatyckie były przecież wówczas kolonjami europejskiemi. Tradycje Imperjum Rzymskiego zostały przejęte przez Karola Wielkiego i następnie przez cesarzy niemieckich, władców „Sancti Imperii Romani nationis Germanae". Przeświadczenie Niemców o przyrodzonej wyższości swego narodu nad innymi narodami Europy i specjalnej „misji opatrznościowej Niemiec w Europie" wynika w znacznym stopniu z tej przejściowo odegranej roli, która jednak, nie zwalczywszy oporu pozostałych narodów przeciwko supremacji niemieckiej i degradacji własnej do stanu lenna niemieckiego, runęła ostatecznie pod ciosami Korsykanina, aspirującego do narzucenia Europie zgoła innej jedności, patronowanej przez cesarza Francuzów. Po pogromie Napoleona myśl jedności Europy przyjętą została przez zwycięską Koalicję, zrzeszoną w t. zw. „Świętem Przymierzu", którego niepodzielne przejściowe panowanie nad starym światem zburzonem zostało przez „wiosnę ludów".

W nowszych czasach idea jedności Europy ustąpiła miejsca ideałowi szerszemu, poczuciu solidarności międzynarodowej narodów cywilizowanych, ideałowi, pielęgnowanemu od swego zarania przez chrześcijaństwo, które już w początku średniowiecza głosiło Treugam Dei dla położenia kresu rozlewowi krwi bratniej, które zorganizowało

wspólne wyprawy krzyżowe przeciwko niewiernym ciemiężycielom Ziemi Świętej i które wojowniczemu nacjonalizmowi przeciwstawiało braterstwo narodów w Chrystusie. Nawet dzisiejszy Bank Międzynarodowy ma swego poprzednika w projekcie Banku Chrześcijańskiego z 1675 r., którego cele i plan finansowy pokrywały się prawie z obecnym „bankiem wypłat międzynarodowych"; oryginalny dokument ten jest po dziś dzień przechowywany w Genewie. Jedynym jednak tworem realnym idei solidarności międzynarodowej stał się przed wojną światową Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze. Dopiero po wielkiej wojnie największy wśród władców świata marzyciel, ś. p. Prezydent Wilson, przeforsował w traktacie wersalskim założenie Ligi Narodów, jako urzeczywistnienie i zcementowanie zarazem idei współpracy i solidarności międzynarodowej państw cywilizowanych. Ironja losu chciała jednak, że wszystkie zaproszone państwa podporządkowały się szlachetnej dyrektywie Wielkiego Prezydenta i jego tworowi, za wyjątkiem — samych Stanów Zjednoczonych! W ten sposób Liga Genewska siłą rzeczy przeistoczyła się coraz bardziej w Areopag, przeciążony drobnostkowemi często sprawami jednego kontynentu, sądzący sprawy europejskie, w których pozaeuropejskie państwa, członkowie Ligi, odgrywały rolę czynnych czy biernych arbitrów, z korzyścią może dla objektywności orzeczeń Ligi, jak utrzymują niektórzy, ze szkodą jednak dla ambicji Europy, przyzwyczajonej od dawien dawna do narzucania swojej woli innym kontynentom. Do powstania jednak myśli Stanów Zjednoczonych Europy doszło z całego szeregu przyczyn, daleko wychodzących poza ramy ogólnych niedomagań Ligi Narodów.

Zdaniem ks. Janusza Radziwiłła „trzy powody doprowadziły do tego, że myśl stworzenia federacji europejskiej, propagowana dotychczas przez grupę Coudenhove Calergi, traktowana od lat jako utopja, została naraz skwapliwie podjętą przez Brianda..."

1) Zrujnowanie państw europejskich a wzbogacenie Ameryki.

2) Pęd inwestycyjny w powojennej Europie, finansowany przez kapitał amerykański, przedewszystkiem w Niemczech. (My Polacy żałujemy, że w tak małych rozmiarach zaczęło się to w Polsce!).

3) Egoistyczna polityka gospodarcza Stanów Zjednoczonych, które obecnie ustaliły taryfy celne natury prohibicyjnej, o 100% wyższe od dotychczasowych, przeciwko których wprowadzeniu w życie kolejno protestowały wszystkie zainteresowane państwa (ogółem kilkadziesiąt), przedewszystkiem Francja, Niemcy, Włochy i Hiszpanja. (Polityka ta jest tembardziej zdumiewającą, że utrudnia przedewszystkiem europejskim dłużnikom Stanów wywiązywanie się z obowiązku spłacania długów!).

Louis Loucheur, b. francuski minister pracy i zasłużony prezes konferencji, której udało się rozwiązać zawiły problem „odszkodowań wschodnich“, następująco sformułował w wywiadzie prasowym, udzielonym w Pradze, powody „konieczności“ („nie idealistycznej tęsknoty“!) reorganizacji Europy:

1) niezwykłe stanowisko, jakie zajęła Ameryka po wojnie w światowym handlu,

2) zniknięcie targu rosyjskiego i znaczne ograniczenie targu chińskiego,

3) stosowanie nowych metod produkcji w Europie (t. zw. racjonalizacji), które z jednej strony podnoszą jej wydajność, ale w skutkach, ponieważ popyt nie wzmacnia się równolegle z podażą, powodują bezrobocie.

Sam hr. Coudenhove Calergi, który, głosząc swój ideał dziesięć lat temu, był istotnie głosem wołającego na puszczy, a z którym obecnie coraz poważniej się liczą wśród rządów i społeczeństw, którego entuzjastycznie przyjmują całe kongresy, jak m. in. ostatnio w Berlinie, z udziałem najwybitniejszych mężów stanu wielu państw, określił w czasie swe-

go pobytu w Warszawie założenia swojej „Paneuropy“ jak następuje:

„Idea i koncepcja Paneuropy nie może być zrealizowaną bez silnej, mocarstwowej Polski, która jest najpewniejszą barjerą ochronną przed Rosją; stworzenie Unji Paneuropy będzie najlepszą gwarancją, że państwa, wchodzące w skład Unji, będą po stronie Polski w razie ewentualnego zatargu na Wschodzie“. W dalszym ciągu podkreślił on konieczność utrzymania potęgi Rzeczypospolitej, jako jedynego dziś silnego przedmurza cywilizacji, przyczem wskazał na „dwie wielkie postacie, dziś już historyczne, które obroniły Zachód przed zalewem barbarzyńskiego Wschodu“, a mianowicie na Króla Jana Sobieskiego i Marszałka J. Piłsudskiego.

Hr. Coudenhove jest dobrym propagatorem paneuropejskości. Umie on w przemówieniu dać wyraz tym odczuciom, prawie że podświadomym, które odnajdujemy u wszystkich europejczyków, odczuciom, które tak jasno stawiają przed nami absurdalność dzisiejszego stanu politycznego Europy, walk, kłótni i antagonizmów między narodami, wyrosłymi z jednego pnia cywilizacji, kultury i religji.

Jedność Europy wydaje się czemś wprost oczywistem, czemś, co nie powinno wymagać propagandy. Zagadnienie wydaje się dopiero skomplikowane, cel, pozornie tak bliski, ucieka w daleką, mglistą przestrzeń, gdy zaczniemy analizować poszczególne problemy — terytorjalne, celne, narodowościowe, handlowe, kolonjalne i t. d.

Ale niemniej tkwi w nas poczucie europejskości. Hr. Coudenhove jest bardzo żywym wyrazicielem tej podświadomej europejskości.

Zasługiwał na podkreślenie ustęp jego przemówienia, w którym wskazywał, że nawet tak przeciwstawne europejskości ruchy, jak nacjonalizm, noszą w sobie jednak jej cechę, bo w jednym okresie i w podobnych formach osiągnęły u wszystkich narodów znaczniejszy rozwój. Tembardziej

charakter europejski miał humanizm, reformacja, kontrreformacja, światły absolutyzm, demokratyzm i socjalizm.

Wielcy myśliciele, filozofowie i poeci, nie wypierając się własnego narodu, stali się przecież jakby własnością całej Europy.

Wychodząc z założenia tej europejskości, niejako przyrodzonej, przez tradycję dziejów ducha reformowanej, hr. Coudenhove wyciąga bezpośrednio śmiałe wnioski: Albo się jest paneuropejczykiem, albo się jest antyeuropejczykiem; albo się dąży do federacji europejskiej, albo się pracuje na to, by Europa stała się kolonją amerykańską, lub też, co gorzej, niewolnicą Sowietów. Natomiast federacja Europejska może wydatniej, niż obecna, skłócona Europa, współpracować z Ameryką, a w stosunku do Rosji Sowieckiej być potęgą tak wielką, jak np. potęga Stanów Zjednoczonych wobec Meksyku!!

Nastawienie antyrosyjskie przebija bardzo silnie, stale, konsekwentnie i wyraźnie z wywodów hr. Coudenhove. Słusznie mówił prelegent, że różnica kultury i aspiracji między Niemcami a Polską jest prawie niewidoczna, wobec różnicy, jaka zachodzi między Polską a Rosją. *A różnica ta byłaby jeszcze stokroć większa, gdyby nie ów wiek przeklętej niewoli rosyjskiej, który Polskę cofnął cywilizacyjnie i kulturalnie o 100 lat conajmniej, i który wytworzył w b. zaborze rosyjskim warunki, wobec których niewola pruska wychodzi na istne dobrodziejstwo!*

Jest to ta sama myśl, która wielu już autorom, bardzo dalekim od kosmopolityzmu, m. in. niedawno w „Revue des Deux Mondes“, narzuciła wprost świadomość solidarności europejskiej w przeciwstawieniu właśnie do Eurazji, jej okropności wewnętrznych i wspólnych dla całej Europy niebezpieczeństw, *bez względu na to, czy*

Eurazja będzie pod władzą białych, czy czerwonych carów*).

Zdaniem zwolenników Paneuropy, dzisiejsze, nie do przyzwyciężenia trudności międzynarodowe, przedewszystkiem ogromne zróżniczkowanie się stanu zasobów materjalnych, kontrast pomiędzy krajami, wysoko uprzemysłowionymi i kapitalistycznymi a krajami zubożałymi i rolniczymi, troska o samowystarczalność i wyrównanie bilansu handlowego, różnice stopy życiowej i warunków socjalnych, właśnie tylko drogą zlania się w jeden organizm gospodarczy dadzą się przezwyciężyć, skoro żadne komitety finansowe i ekonomiczne Ligi Narodów nie dały i dać nie mogą wyjścia z labiryntu węgla, cukru, stali, aluminium, stawek celnych, nomenklatury, skóry i kości, prohibicji i restrykcji w warunkach trwania zbyt kosztownego partykularyzmu europejskiego, z jego nieodłącznym etatyzmem i przeciążeniem podatkowem. Przy obecnem skurczeniu się, dzięki udoskonaleniom technicznym, powierzchni świata, stał się on bowiem niemniej szkodliwym dla rozwoju gospodarczego od dawnego rozbicia Rzeszy Niemieckiej na konglomeraty wzajemnie zwalczających się politycznie i gospodarczo państw i państewek. Paneuropa taka mogłaby też skuteczniej hamować sprzeczne z praworządnością gospodarczą zapędy socjalizujące państw.

Jakżeż ideolodzy federacji europejskiej wyobrażają sobie jej realizację?

Projekt Paneuropejski, ogłoszony przez hr. Coudenhove'a, stawia m. in. następujące tezy:

Europejski Związek państw jest układem regionalnym

*) Myśl ta jest decydującą dla naszej orjentacji. Dlatego tak kategorycznie odrzucamy pogląd „narodowy", jakoby Polska mogła szukać oparcia o Rosję przeciwko Niemcom. Wszak upośledzone stanowisko Polski w Europie głównie wynika z zacofania, w jakiem się znajdujemy w b. zaborze rosyjskim z Warszawą na czele, wobec współczesnego rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego Zachodu. Odgrodzenie od destrukcyjnego wpływu wschodu jest dla Polski warunkiem egzystencji.

w myśl art. 21 paktu Ligi Narodów. Członkowie związku poręczają sobie wzajemnie dotrzymanie paktu Ligi Narodów i paktu Kellog‘a. Członkowie Związku gwarantują sobie wzajemnie militarnie swój terytorjalny stan posiadania, ponoszą wspólnie odpowiednią część ciężarów finansowych państw, broniących bezpośrednio Europy od wroga zewnętrznego (Polska, Rumunja i państwa bałtyckie), zawierają ze sobą unję monetarną (wspólny bank), uzgadniają ustawodawstwo gospodarcze i t. d.

Każdy członek związku zobowiązuje się przedstawić wszystkie konflikty z innymi członkami trybunałowi związkowemu i poddawać się jego wyrokom. Członkowie związku zobowiązują się nie zawierać w przyszłości żadnych traktatów handlowych na podstawie najwyższego uprzywilejowania bez „klauzuli europejskiej“.

Organami europejskiego związku są: 1) rada związku, 2) zgromadzenie związku, 3) trybunał związku, 4) urząd związkowy. Rada związku stanowi izbę pierwszą, drugą izbą jest zgromadzenie związku. Uchwały, naruszające suwerenność państw związkowych, wymagają jednomyślnej ratyfikacji przez wszystkie państwa związkowe.

Dla pokrycia wydatków związku pobierać będą państwa związkowe w swoich portach morskich od wszystkich nieeuropejczyków opłaty za wylądowanie, których wysokość odpowiadać będzie opłatom amerykańskim.

Jako siedzibę związku proponuje autor projektu Berno, Brukselę, Luxemburg lub Wiedeń.

Memorandum Brianda, złożone równocześnie rządom wszystkich państw europejskich, będących członkami Ligi Narodów, przedstawia się następująco:

1) współpraca państw europejskich winna odbywać się w łączności z Ligą Narodów, t. j. w warunkach, które, nie osłabiając autorytetu tej instytucji, zmierzałyby jedynie do ułatwienia jej pracy z korzyścią dla wszystkich narodów;

2) unja europejska nie mogłaby — poza ramami Ligi Narodów — przeciwstawiać się żadnemu zespołowi et-

nicznemu ani na gruncie europejskim, ani też w innych częściach świata i przewidując koncepcję, całkowicie odmienną od koncepcji dawnych unji celnych, unja europejska powinna być realizowana w atmosferze zupełnego zaufania;

3) wprowadzenie łączności federalnej pomiędzy rządami europejskimi nie mogłoby w żadnym wypadku i w żadnym stopniu naruszyć któregokolwiek z praw suwerennych państw, będących członkami unji.

Ankieta, wystosowana w tem memorandum, dotyczy czterech punktów zasadniczych:

I. Niezbędności zawarcia paktu ogólnego, chociażby najelementarniejszego, w celu stwierdzenia zasady unji moralnej europejskiej i uroczystego uświęcenia aktu solidarności, ustanowionej pomiędzy państwami europejskimi. (Rządy, będące sygnatarjuszami paktu, zobowiązałyby się do stałego utrzymywania kontaktu drogą zwoływania zebrań swych przedstawicieli w określonych terminach.

II. Niezbędności utworzenia następujących organów w celu zapewnienia normalnego funkcjonowania związku:

A. Ciała reprezentacyjnego, odpowiedzialnego, pod postacią stałej instytucji konferencji europejskiej — złożonej z przedstawicieli wszystkich rządów europejskich, członków Ligi Narodów. Konferencja europejska byłaby naczelnym organem unji europejskiej, pozostającym w związku z Ligą Narodów.

B. Organu wykonawczego pod postacią stałego komitetu politycznego, złożonego jedynie z pewnej liczby członków konferencji europejskiej.

C. Sekretarjatu, który w okresie akcji organizacyjnej mógłby być instytucją niewielką.

III. Niezbędności ustalenia zgóry zasadniczych dyrektyw, które mają być podstawą dla ogólnych koncepcji komitetu europejskiego, oraz stanowić wytyczne w pracach przygotowawczych tego komitetu, w celu opracowania programu organizacji europejskiej.

A. Ogólnego podporządkowania problemu gospodarczego problemowi politycznemu.

B. Koncepcji europejskiej współpracy politycznej.

C. Koncepcji organizacji gospodarczej Europy.

IV. Potrzeby zarezerwowania dla przyszłej konferencji europejskiej, bądź też dla przyszłego komitetu europejskiego, sprawy rozważenia kwestji, związanych z wprowadzeniem w życie zamierzonej unji.

A. Określenia zakresu współdziałania państw europejskich, a mianowicie: w zakresie ogólno-gospodarczym, komunikacji i tranzytu, finansów, pracy, higjeny, współpracy intelektualnej, stosunków międzyparlamentarnych, administracji etc.

B. Określenia metod współdziałania europejskiego.

C. Określenia wszelkich sposobów współdziałania pomiędzy unją europejską a krajami, pozostającymi poza ramami tej unji.

Memorjał p. Brianda, pomimo nadania mu formy ankiety, jest bardzo pozytywny w swoich założeniach. Mając do wyboru pomiędzy ogólnikowym referatem a dokumentem szczegółowym, rząd francuski wybrał tę drugą formę — i uczynił niewątpliwie dobrze. Federacja Europejska przestaje być w rzeczonym projekcie polityką, a staje się organizmem. Trudno odmówić projektodawcy, w obecnych warunkach zaognienia politycznych i gospodarczych rozterek pomiędzy narodami Europy, imponującego optymizmu!

Głównem niewątpliwie zadaniem federacji europejskiej ma być odbudowa i przebudowa gospodarcza Europy w kierunku jednolitego organizmu ekonomicznego, zdolnego do przezwyciężenia przesilenia, przez które cierpią wszystkie państwa Europy, oraz do wspólnego występowania na zewnątrz.

To też tym założeniom, aczkolwiek umieszczonym dopiero w III rozdziale, należy się bezwątpienia pierwszeństwo. Chodzi o „ustalenie zgóry zasadniczych wytycznych, mających określić ogólne założenia komitetu europejskiego (or-

ganu kierowniczego) i być dlań wskazówkami w jego pracy przygotowawczej nad opracowaniem programu organizacji europejskiej".

Przedewszystkiem więc projekt żąda „podporządkowania ogólnego zagadnienia gospodarczego zagadnieniu politycznemu"! Nie znaczy to jednak bynajmniej, jakoby p. Briand odwrócić chciał rozpowszechnioną po wojnie słuszną zasadę budowania założeń politycznych na przesłankach gospodarczych, czyli pierwszeństwa gospodarki przed polityką. Przeciwnie: projekt, mając właśnie na celu rozwój gospodarczy Europy, słusznie podkreśla jego niemożliwość i nierealność w warunkach braku gwarancji pokoju i stabilizacji stosunków. Wszelkie koncepcje związków gospodarczych, unji celnych, systemów międzynarodowych, układów handlowych i t. p., tak długo będą utopjami, dopóki właśnie zagadnienie bezpieczeństwa, a więc stabilizacji politycznych stosunków międzynarodowych, nie zostanie rozwiązane. Wszelki inny sposób musiałby bowiem doprowadzić do zagrożenia państw słabszych „politycznym podbojem w wyniku podboju przemysłowego ze strony państw najsilniej zorganizowanych"! To też, według projektu, wszelkie ustępstwa państw na punkcie ich suwerenności ekonomicznej (zniesienie barjer celnych i t. p.) byłyby usprawiedliwione dopiero rozwojem sytuacji politycznej, upoważniającej narody do wzajemnego zaufania i prawdziwą pacyfikacją umysłów. (Dlatego memorjał wysuwa projekt zapewnienia pomocy kredytowej krajom gospodarczo mniej rozwiniętym, odpowiedni podział rynku europejskiego, gwarancje walutowe i t. p.).

Na takiej to podstawie stworzona współpraca europejska, polegająca na „idei zjednoczenia, lecz nie jedności", czyli nie naruszająca w niczem niepodległości i suwerenności narodów, winna doprowadzić do wszecheuropejskiego systemu arbitrażu i bezpieczeństwa, do wszecheuropejskiego Locarna, wreszcie do uczynienia istniejących układów, czy serji układów, częścią składową systemu ogólnego. Wówczas

powstałaby również na tych fundamentach organizacja gospodarcza Europy, która, oparta o międzynarodowy „układ solidarności ekonomicznej“, zapewniłaby poszczególnym krajom racjonalizację produkcji i wymiany, wspólny rynek, stopniowe zwolnienie i uproszczenie obiegu towarowego, tudzież ułatwienie cyrkulacji kredytowej i osobowej „z jedynem zastrzeżeniem potrzeb obrony krajowej każdego państwa“. Termin „federacja“ jest w całym memorjale używany nie w ścisłem znaczeniu prawniczem, chodzi tu bowiem o niesprecyzowanie na razie trudności uzgodnienia niezawisłości państwowej z konsekwencjami przystąpienia do organizmu ponadpaństwowego, oraz o wykluczenie zgóry wszelkiej myśli o supremacji czy hegemonji jednych nad drugimi. P. Briand w ten sposób skonstruował memorjał, by odebrać mu wszelkie nawet pozory aktu, skierowanego przeciwko komukolwiek.

W szczególności projekt p. Brianda podkreśla swój charakter jaknajdalej zgodny ze strukturą i zadaniami Ligi Narodów, której bynajmniej nie chce być konkurentem na terenie europejskim. Pragnie on natomiast „pomagać“ Lidze, usuwając pewne trudności, które dotychczas były przeszkodą w jej pracy. Według memorjału bowiem „niema wątpliwości, że brak spoistości w grupowaniu materjalnych i moralnych sił Europy stanowi w praktyce najpotężniejszą przeszkodę dla rozwoju i skuteczności wszystkich politycznych i prawniczych instytucji, na których polegają pierwsze usiłowania w kierunku powszechnej organizacji pokoju“. Nieuzgodniony ustrój Europy jest właśnie, zdaniem memorjału, stałą groźbą dla pokoju i przeszkodą dla normalnego rozwoju gospodarczego i społecznego. Współpraca państw europejskich winna więc nie osłabić, lecz wręcz przeciwnie, wzmocnić autorytet Ligi Narodów. Przejmując więc od Ligi, jako organizacji wyższej, sprawy kontynentalno-europejskie, komitet europejski byłby tylko „regjonalnem porozumieniem“, jakie wyraźnie przewiduje pakt Ligi; dla większego jeszcze podkreślenia swojego charakteru, jako orga-

nizmu składowego Ligi, komitet europejski miałby obradować w Genewie równocześnie z sesjami Rady Ligi Narodów.

To podkreślenie ma niewątpliwie na celu zjednanie dla projektu całego „świata Ligi Narodów“, bardzo zazdrośnie strzegącego swoich prerogatyw, którego echem są zapewne wynurzenia p. W. Martin w „Journal de Genève“, dość krytyczne dla projektu „Stanów Zjednoczonych Europy“, które nazywa „une fausse idée claire“ i nierealnym mistycyzmem. Zdaniem jego tylko Liga Narodów może wykonywać zadania ogólne, o które chodzi projektowi, słabą stroną Ligi jest jedynie brak współpracy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie widzi on specyficznych cech jedności Europy, chyba całej rasy białej — gdyż pozatem więcej wspólnego jest pomiędzy Amerykaninem Północnym a Anglikiem, lub Hiszpanem a Amerykaninem południowym, aniżeli pomiędzy Bułgarem a Duńczykiem (!?).

Oba projekty charakteryzuje przeciwstawienie poszczególnym tendencjom rewizyjnym i rewindykacyjnym zasady unieszkodliwienia spornych granic państwowych, bez zmiany obowiązujących traktatów, drogą ich uniewidocznienia przez zniesienie wiz, paszportów, ceł, trudności komunikacyjnych i t. d.

Autorzy obu projektów są zgodni w zapewnieniu, że nie są one skierowane przeciwko komukolwiek. Hr. Coudenhove podkreśla to stale w swoich enuncjacjach, rząd francuski zaś zapewnił oficjalnie o tem rządy amerykański i sowiecki. Niemniej samo uzasadnienie tych projektów, jako wywołane niebezpieczeństwem, w jakiem Europa się znajduje, każe się conajmniej domyślać sprawców owego niebezpieczeństwa. Zresztą Briand, przed wykoncypowaniem swojego projektu, zbyt wyraźnie wskazywał na palącą konieczność dla starego świata zwartego przeciwstawienia się gospodarczej polityce Stanów Zjednoczonych, dążącej nolens volens do zupełnego przeistoczenia Europy w uzależniony finansowo od Ameryki rynek zbytu, tembardziej więc obecnie wprost się nie narzucał. Hr. Coudenhove, nie

krępowany dyplomatycznie jak Briand, bardzo wyraźnie wskazuje na niebezpieczeństwo od strony czerwonego wschodu, jako zmuszające Europę do zjednoczenia się w obronie zagrożonych zagładą najwyższych dóbr kulturalnych Zachodu i całego dorobku cywilizacyjnego Chrześcijaństwa. Dawniej, za czasów konserwatywnych, Anglja, na każdym kroku zagrożona propagandą bolszewicką, skłonna była do popierania wszelkiej polityki, mogącej doprowadzić do pacyfikacji stosunków wewnętrzno-europejskich i wytworzenia solidarnego frontu państw europejskich na zewnątrz, starając się przedewszystkiem wszelkimi siłami o przezwyciężenie największej ku temu przeszkody — antagonizmu francusko-niemieckiego, względnie porozumienia niemiecko-sowieckiego (Rapallo). Obecnie natomiast rząd Mac Donalda poszedł w kierunku całkowicie odmiennym, a mianowicie w kierunku porozumienia z Sowietami z jednej, a z Ameryką z drugiej strony, przy równoczesnem wycofywaniu się z polityki kontynentalnej. Wskutek tego Europa, zredukowana do własnego swojego półwyspu kontynentalnego, od kanału La Manche do Bałtyku i morza Czarnego, znalazła się jakgdyby pomiędzy młotem sowieckim a kowadłem anglosaskim. Taki stan rzeczy najzupełniej odpowiada hr. Coudenhove, natomiast Briand czyni rozpaczliwe usiłowania wciągnięcia do swojej koncepcji federacyjnej również i W. Brytanji.

Jak na projekty federacji zareagowały państwa zaiteresowane?

Wyraźnie negatywnie zareagowały Włochy i Anglja, mniej jaskrawo Niemcy.

Prasa włoska, w przeciwieństwie do prasy innych państw, zachowała z początku wymowne milczenie w sprawie projektu rządu francuskiego o federacji europejskiej, zadowalając się przeważnie powtarzaniem głosów prasy zagranicznej. Sfery polityczne tłumaczyły milczenie prasy jako niechęć do otwartego odrzucenia propozycji Brianda, pomimo przychylnych zapewnień p. Scialoji w Genewie.

Zdaniem ich właściwą odpowiedzią była mowa p. Mussoliniego we Florencji, mająca wykazać niedorzeczność międzynarodowych usiłowań pacyfistycznych Francji w obecnym stanie rzeczy. Natomiast prasa włoska odrazu otwarcie wystąpiła przeciwko mowie p. Loucheura w Berlinie na kongresie paneuropejskim, budującej Paneuropę, zgodnie z wywiadem kanclerza Brüninga w „Matin", na sojuszu francusko-niemieckim, przy zupełnem ignorowaniu Włoch. Arnaldo Mussolini coprawda przychylnie ocenił wytyczne projektu Brianda, uzależniając jednak jego realizację od spełnienia 5 warunków: 1) rewizji traktatów (?), 2) parytetu zbrojeń, 3) zniesienia tajnej dyplomacji, 4) równego podziału kolonji, 5) sojuszu gospodarczo-celnego. Sam premier Mussolini w wywiadzie, udzielonym jednemu z dzienników angielskich, uznał realizację Paneuropy za również zależną od rewizji traktatów i zadowolenia włoskich pretensji kolonjalnych, przyczem sprecyzował, że chodzi mu o uwzględnienie skarg Niemiec i żądań Węgier. Tego samego mniej więcej domagają się Niemcy. Dużą oczywiście w tem rolę odgrywa sam fakt, że autorem podobnej propozycji jest Francja. Niemniej nie da się zaprzeczyć, że niezmiernie wygórowana za czasów faszystowskich drażliwość Włoch na punkcie prestiżu mocarstwowego każe im istotnie podejrzewać Brianda o zamiary narzucenia Europie hegemonji Francji. Nawet usiłowania zacieśnienia stosunków francusko-niemieckich, które, zdaniem Brianda, stanowią główny warunek powodzenia koncepcji federacyjnej i które Loucher na kongresie paneuropejskim w Berlinie uznał za pierwszy etap na drodze do celu, witane są po tamtej stronie Alp z najdalej idącą nieufnością, jako grożące podziałem Europy na sfery interesów francuskie i niemieckie, z zupełnem pominięciem wielkomocarstwowych praw i ambicji Włoch. Zdaniem Włoch, federacja byłaby tylko niepotrzebną konkurencją Ligi Narodów, która i tak w 90% zajęta jest sprawami europejskiemi. To też, jak spór włosko-francuski pokrzyżował wszystkie plany Mac Donalda i Hendersona, rozbijając układ

Londyński i zmuszając rząd angielski ponownie, w interesie utrzymania chociażby tylko porozumienia anglo-amerykańsko-japońskiego, uzależnionego od zaprzestania zbrojeń w Europie, do występowania w niewdzięcznej roli medjatora na kontynencie, z którego się właśnie pragnął wycofać, tak obecnie tenże spór grozi pogrzebaniem całej federacyjnej koncepcji Brianda. Włochy zresztą czują się zagrożone i to bardzo nawet przez Amerykę, kneblującą eksport włoski, natomiast Mussolini w wywiadzie z United Press zaprzeczył tezie, jakoby Europie groziło poważne niebezpieczeństwo od wschodu.

Opozycja Niemiec jest coprawda bardzo kurtuazyjną, niemniej — na razie przynajmniej — nieprzejednaną. Niemcy odrzucają przedewszystkiem sam rdzeń projektu federacyjnego, mianowicie ustalenie i zagwarantowanie obowiązujących granic i traktatów (t. zw. Locarno ogólno-europejskie). Francuskiej tezie bezpieczeństwa międzynarodowego, opartego o skuteczny system automatycznie działających sankcji militarnych, Niemcy przeciwstawiają swoją tezę o konieczności usunięcia „przyczyn wojen“! Znany polityk, prof. Dr. Hoetzsch, względnie umiarkowany nacjonalista, przeczy francuskiej koncepcji „wypowiedzenia wojny wojnie“ (jest to i polska koncepcja, sformułowana przez hr. Al. Skrzyńskiego). W „Neue Zürcher Zeitung“ formułuje on bardzo wyraźnie żądania Niemiec, od których spełnienia uzależnia wszelką na ten temat owocną dyskusję. A więc przedewszystkiem nie może być mowy o jakiejkolwiek hegemonji Francji, którąby chciała, zdaniem wielu Niemców, powetować sobie izolację, wytworzoną rzekomo po konferencji Londyńskiej. Musi być bezwarunkowo wszystko, co krępuje suwerenność Niemiec w traktacie Wersalskim, przekreślone (rozbrojenie). Niemcy nie zgodzą się na żaden układ, pośrednio lub bezpośrednio skierowany przeciwko Rosji, lub chociażby ową Rosję od udziału w federacji wykluczający. P. Hoetzsch nie uznaje Coudenhove‘owskiej „wspólności losu państw Europy zachodniej“. Nie godzi

się on na jakiekolwiek odgrodzenie Niemiec od Austrji, mogące utrudnić „Anschluss"; przedewszystkiem żąda on bezwzględnie uprzedniego zastosowania art. 19 paktu Ligi Narodów, który, jak wiadomo, Niemcy dość dowolnie interpretują w sensie możności żądania zmiany traktatów, nawet pod względem definitywnie ustalonych granic międzypaństwowych. Wybitny przedstawiciel niemieckich organizacyj nacjonalistycznych, hr. von der Goltz, rozesłał do pism niemieckich artykuł, w którym nawołuje związki nacjonalistyczne, aby rozważyły projekt Paneuropy i uświadomiły ludy niemieckie, że w obliczu tego projektu powinny zamilknąć wszystkie spory partyjne, ponieważ istnieje już tylko jedna alternatywa: „wolne, równouprawnione Niemcy wszystkich Niemców, ze zdrową, samodzielną gospodarką i nielicznymi bezrobotnymi, albo: członek Paneuropy, nowego napoleońskiego państwa światowego, płacący, pracujący, marnujący się, krwawiący dla wrogich Niemcom narodów i ponadpaństwowych potęg". Autor kończy takim zwrotem: „Dla myślących Niemców wybór nie może być trudny". „Germanja", organ kanclerza Brüning'a, daje wyraźnie do zrozumienia, za „jaką cenę" Niemcy gotowe są współpracować z Francją nad programem jednoczenia Europy, tembardziej, że bez anglo-włoskiej przeciwwagi, zaznaczającej się stale w Lidze Narodów, Niemcy byłyby w „Paneuropie" skazane na mierzenie się „oko w oko" z Francją i jej kontynentalnymi sojusznikami. Kanclerz Brüning w wywiadzie z „Matin" dlatego podkreśla dominującą rolę Niemiec i Francji w tej sprawie. Pozatem „Germania", w przeciwieństwie do Brianda, widzi drogę do zjednoczenia Europy nie w pakcie politycznym, lecz w stopniowej rozbudowie całego systemu porozumień i układów gospodarczych (handlowych, celnych i t. p.), oraz — oczywiście (!) — w przeprowadzeniu powszechnego rozbrojenia. Jest to teza, zbliżona do włoskiej koncepcji, według której rozbrojenie jest środkiem do bezpieczeństwa, a nie odwrotnie, jak głosi Francja. To ostatnie żądanie powtarza się

wciąż we wszystkich niemieckich rozważaniach na temat utrwalenia pokoju; niestety, traci ono wszelką wartość wskutek zaistnienia w Niemczech całej sieci uzbrojonych od stóp do głowy „prywatnych“ organizacji bojowych, żadnemu rozbrojeniu nie podlegających. Pozatem Niemcy podejrzewają Francję o chęć utrącenia „Anschlussu“, drogą stworzenia — w ramach Europy — federacji Naddunajskiej. Jak widać — Niemcy współczesne są bardzo odległe od owego demonstracyjnego pacyfizmu wszecheuropejskiego, któremu stale dawał wyraz ś. p. Stresemann, jednając sobie temsamem zaufanie i sympatje europejskich mężów stanu. W takiem to świetle odpadają oczywiście samo przez się zarzuty, wciąż powtarzane z nacjonalistycznej strony w Polsce, jakoby Paneuropa była — instrumentem w ręku Niemiec! Z całej prasy niemieckiej najprzychylniej ocenia projekt francuski „Vossische Zeitung“, charakteryzując konieczności gospodarcze, domagające się zniesienia granic państwowych dla łatwiejszego wyzwolenia sił produkcyjnych w Europie; ustanowienie bowiem barjer celnych przez poszczególne państwa europejskie stanowi najistotniejszy powód postępującego coraz bardziej zubożenia Europy. „Zahamowanie rozwoju produkcji, które wywołane jest istnieniem ciasnych granic państwowo-narodowych, oraz niemożnością tworzenia wielkich kontynentalnych rynków zbytu dla nowozorganizowanych gałęzi produkcji, jest największem nieszczęściem Europy XX-go stulecia“.

Jeżeli chodzi o stosunek Anglji do Paneuropy, to najbardziej miarodajne będzie ostatnie oświadczenie b. ministra Skarbu, p. Churchilla, opublikowane w „N. Freie Presse“ i „Figaro“. P. Churchill, mówiąc o Europie i Anglji, podkreśla konieczność zrealizowania Paneuropy, ale bez udziału Anglji, która stanowi zupełnie odrębną strukturę gospodarczą i polityczną. Zdaniem p. Churchilla, Anglja ma interes, aby została utworzona Federacja Paneuropejska, bo to będzie najpewniejszą gwarancją pokoju i rozwoju Europy.

„The Observer“ zamieścił art. wst. p. t. „Europa

p. Brianda — Budowa tęczy". Memorandum Brianda — pisze autor — zmierza do stworzenia „Gallijskiej Europy — Imperjum napoleońskiego" w nowoczesnej szacie, z bardziej odpowiednią nazwą. „Jest to kontynuowanie warunków, szczególnie korzystnych dla Francji, pchnięcia państw na drogę, wykreśloną przez zwycięzców, której nici polityki koncentrują się w Paryżu". „Francuzi dążą do przewodzenia Europie, lecz jeśli chodzi o kwestje federacyjne, to Anglja, która sama jest państwem federacyjnem, mogłaby wnieść specjalne wartości". Krytykując w dalszym ciągu memorjał Brianda, autor zaznacza, że w organizacji federacyjnej nie może być żadnych innych granic wewnętrznych, jak tylko administracyjne. Pozatem wszystkie państwa w łonie federacji muszą czuć się równe, o czem nie można mówić dopóty, „dopóki po obu stronach Renu stosowane są dwie różne miary" (Aluzja do rewizji traktatu!). „Interesy W. Brytanji nie pozwalają jej na to, by stała się ona tylko częścią składową systemu europejskiego, lecz jej położenie geograficzne zmusza ją do łączenia się z tym systemem". Chociaż memorjał Brianda jest dla Anglji nie do przyjęcia, to jednak autor uważa ten projekt za godne uwagi dążenie do stworzenia organizacji pokoju.

Sytuacja Anglji jest niewątpliwie trudną. Związawszy się z Ameryką, nie chce ona zaryzykować konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi z powodu stosowania sankcji, mających stać się jej obowiązkiem z racji swojej ewentualnej przynależności do federacji europejskiej. Kolizja ta przecież daje się jej już we znaki w Lidze Narodów, których Stany nie chcą być członkiem. Tem się też tłumaczy opór lorda Cecila przeciwko przyjęciu przez Anglję jakichkolwiek wiążących zobowiązań, mogących krępować jej swobodę decyzji w chwili ewentualnego faktycznego wybuchu konfliktu pomiędzy mocarstwami. Anglja ma tyle kłopotów z utrzymaniem w karbach Imperjum, że nie chce brać jeszcze i cudzych na swoje barki. Anglja na razie nie chce i nie może nic dla Europy uczynić, co nie byłoby uzgodnione z Ameryką; stanowisko

takie oczywiście przekreśla w znacznym stopniu dotychczasową politykę W. Brytanji względem solidarności międzynarodowej w Lidze Narodów. Tem boleśniejszym ciosem dla Anglji stała się nowa ustawa celna Stanów Zjednoczonych, fatalna dla eksportu Anglji. Pamiętać należy, że w Lidze reprezentowane są wszystkie cztery dominjony i Indje; samodzielna Kanada zasiada nawet w Radzie, jest mowa o głosie w Radzie dla drugiego dominjonu; W. Brytanja ma więc w Genewie zapewnioną przewagę. Inaczej w federacji europejskiej. Pozatem struktura obecna Imperjum Brytyjskiego, utrzymanego jako całość obecnie wyłącznie unją personalną i szeregiem dobrowolnych umów, zwłaszcza natury gospodarczej („Imperial preference"), oraz konferencji premierów i t. d., jest za kruchą na wszelkie eksperymenty. Tak bardzo zaś Anglikom na jej zcementowaniu zależy, że unikają oni, rzecz jasna, jaknajstaranniej wszystkiego, co mogłoby uzewnętrznić brak jedności imperjalnej, względnie nawet doprowadzić do oficjalnego usamodzielnienia się dyplomacji dominjonów, mogącej również szukać powodzenia na drodze — zbliżenia z własnymi kontynentami. To też b. min. Amery na Kongresie paneuropejskim w Berlinie, witając projekt jaknajprzychylniej, zastrzegł się, ku rozgoryczeniu Francuzów, jaknajkategoryczniej przeciwko udziałowi Anglji.

Państwa Małej Ententy najserdeczniej przyjęły memorjał francuski, wolą one bowiem federację europejską jako rozwiązanie ich bolączek gospodarczych, istotnie wynikających ze zbyt szczupłych dla stworzenia zwartych organizmów gospodarczych ich granic, od proponowanej im federacji naddunajskiej, politycznie im niesympatycznej, acz gospodarczo bardzo wskazanej; zanadto im przypomina Austro-Węgry. Ministrowie Benesz i Mironescu, już dotychczas, byli najgorętszymi zwolennikami Paneuropy. Również państwa bałkańskie, skandynawskie i bałtyckie powitały projekt francuski, widząc w nim urzeczywistnienie pięknego ideału. Najbardziej sceptycznie powitała projekt Szwaj-

carja, dumna z goszczenia u siebie Ligi Narodów, dla której w Paneuropie — bez Anglji — obawia się zaborczej i szkodliwej konkurencji.

Nawet w samej Francji zapatrywania na projekt federacji europejskiej są różne i rozbieżne. Projekt ten spotkał się ze zrozumiałem zainteresowaniem i naogół gorącem poparciem prasy francuskiej, najżyczliwszem w organach lewicowych, względnie pacyfistycznych, pomimo ich opozycji wobec rządu. Zdaniem „La République" memorjał ten, wraz z załączonym kwestjonarjuszem, przyczyni się do częściowego zatarcia niemiłego wrażenia fiasca konferencji londyńskiej. Wspomniany organ sądzi, że europejska opinja publiczna daleko bardziej przygotowana jest do koncepcji Stanów Zjednoczonych Europy od poszczególnych rządów. Tego samego zdania jest organ p. Caillaux „La Volonté", uważając projekt p. Brianda przedewszystkiem za próbę znalezienia na innej drodze wzajemnych gwarancji bezpieczeństwa, które zawiodły w Londynie, oraz śmiałe wkroczenie na drogę nadania konkretnego wyrazu naturalnej solidarności Europy w obronie przed zachłannością imperjalizmu amerykańskiego i niebezpieczeństwem wschodniem, grożącem ruiną całemu dorobkowi cywilizacji i kultury Starego Świata. W „Matin" niewątpliwie inspirowany przez Quay d'Orsay p. Sauerwein gorąco reklamuje odważny krok p. Brianda, który bynajmniej nie dał się zniechęcić ani niepowodzeniem idei pacyfistycznej na konferencji londyńskiej (która doprowadziła wyłącznie do porozumienia mocarstw pozaeuropejskich), ani niemniejszem w gruncie rzeczy niepowodzeniem genewskiej konferencji w sprawie rozejmu celnego (której najwyższą antytezą stała się obecna polityka celna nowego rządu Rzeszy, zmuszająca Polskę do zmiany stosunku wobec traktatu handlowego z Niemcami). Przeciwko realności projektu federacji europejskiej występuje prasa skrajnej prawicy nacjonalistycznej z „Action Française" na czele. Analogicznie i komunistyczna „Humanité" uważa próbę petryfikacji traktatów i „wiązania rąk ludom

Europy“ za skazaną na niepowodzenie ze strony malkontentów. W ocenę projektu wmieszały się oczywiście uboczne względy polityczne, wynikające ze stanowiska danego ugrupowania wobec rządu lub też z chęci wygrywania atutu federacyjnego w aktualnym sporze z Włochami. Dotychczasowy gorący apostoł i wielbiciel Paneuropy, b. premier Herriot, wyraża się o projekcie powściągliwie, uważając, w przeciwstawieniu do Brianda, że federacja europejska winna zacząć się od porozumienia gospodarczego, a nie politycznego, bo „trzeba Europie dać najprzód ciało, a potem dopiero duszę“. Wogóle p. Herriot, znany ze ślepego zaufania do „młodej demokracji niemieckiej“, niemal identyczne z nią głosi tezy. Zdaniem jego, rynek polityczny jest zbyt przesycony umowami międzynarodowemi. Dosyć przypomnieć niepowodzenia umów celnych, oraz układów rozbrojeniowych. „Dlatego też lepiej będzie utworzyć najpierw komitet wykonawczy, w którymby przedstawiciele wszystkich państw europejskich mogli wspólnie pracować nad uregulowaniem zagadnień spornych“. „Najbardziej celowem byłoby — zakończył Herriot swoje wywody — zawarcie przedewszystkiem układów międzynarodowych w sprawach bezrobocia, ujednostajnienia poczty, komunikacji kolejowej, samochodowej i lotniczej. W ostateczności należy wydać przepisy radjowe, obowiązkowe dla wszystkich państw“! Herriot uważa, że w tych sprawach technicznych najłatwiej będzie osiągnąć porozumienia wszystkich państw europejskich.

P. Sauerwein zaś projekt federacyjny przeciwstawia w „Prager Presse“ polityce Mussoliniego, który, obok mów skrajnie nacjonalistyczno-imperjalistycznych, głosi dość daleko idący pacyfizm i stawia rozbrojenie przed arbitrażem i bezpieczeństwem, jako środek do celu wiodący, a nie odwrotnie. Publicysta francuski bowiem nie wierzy w pokój nie poparty siłą, „sancjami karnemi“ i „policją międzynarodową“ (tak, jak i praworządność w państwie nie może się obejść bez środków wykonawczych), zwłaszcza wobec

uzbrojonej po zęby czerwonej Komuny. Prof. Fortunat Strowski widzi w polityce Mussoliniego próbę wskrzeszenia starożytnej „Pax Romana", będącej jednak wytworem „zaborczego imperjalizmu", podczas gdy „prawdziwy pokój w Europie może być zapewnionym jedynie właśnie drogą ustanowienia związku federacyjnego w myśl p. Brianda".

Wogóle Briand a Mussolini, czyli sprzeczność pomiędzy ideą federacji europejskiej a maksymą, że „armaty są lepsze od słów", stanowią treść ciągłych rozstrząsań prasy francuskiej na temat federacji europejskiej. Zdaniem jej, tylko dzięki głośnym i wszechstronnym debatom parlamentarnym Paneuropa przeniknie do szerokich mas ludowych, którym zdrowy instynkt podyktuje najlepsze rozwiązanie sprawy na płaszczyźnie realnych możliwości. Krytyce Mussoliniego i jego mów wojowniczych przez większość prasy francuskiej, widzącej w nich prowokację, rozumną ocenę przeciwstawia „Figaro", przyznając premierowi włoskiemu słuszność, tak w dawaniu pierwszeństwa sile zbrojnej, jako gwarancji bezpieczeństwa, przed „bezpieczeństwem psychologicznem" Brianda, jak również we wskazywaniu na „sekty", „grupy" i „partje" (czyli na masonerję!), konspirujące w różnych krajach przeciwko faszyzmowi, które istotnie, zdaniem „Figaro", powstrzymywały Francję od zbliżenia tak z faszystowską Italją, jak i z Watykanem, powodując nieszczęsny rozdźwięk dzisiejszy tak pomiędzy b. sojusznikami wojennymi i siostrzycami łacińskiemi, jak i pomiędzy katolicką Francją a Stolicą Apostolską. „Należy to odrobić"!

Najpoważniejsze zastrzeżenia w stosunku do projektu federacyjnego wypowiada p. Poincaré, wskazując przedewszystkiem na tendencje przetargowe w Niemczech, gdzie otwarcie nacjonaliści domagają się obalenia traktatu Wersalskiego, tak pod względem finansowym, jak i terytorjalnym, jako przedwstępnego warunku. Wszak w samym Paryżu niedawno pewien młody nacjonalista niemiecki z takiem wystąpił żądaniem wobec „Paneuropy", a kap. Erhardt, znany przywódca Stahlhelmu, zagroził wyraźnie wojną w razie

odrzucenia niemieckich żądań rewizyjnych. Bez Anglji zaś b. Prezydent nie wyobraża sobie federacji, nie może on się również pogodzić z wycofaniem się Rosji z koncertu państw europejskich. We Francji wogóle pokutuje jeszcze tęsknota za Rosją, dlatego też niedoceniają zniweczenia przez bolszewizm eksperymentu Piotra Wielkiego i wskrzeszenia Eurazji! Omawiając postulaty, wyrażone w memorjale, Poincaré zaznacza, iż odseparowanie kwestji politycznych od ekonomicznych jest nawet z punktu widzenia logiki nieuzasadnione. W zakończeniu Poincaré pisze: „Nie jest bez pożytku, iż rządy i narody musiały zastanowić się nad memorjałem Brianda. Nie bez pożytku również jest usymbolizowanie ludzkich fantazji, lecz tych fantazji i życzeń nie można brać za czynniki realne“. Pesymizm p. Poincaré podziela, z innych wychodząc założeń, wielki socjalista Albert Thomas, prezes międzynarodowego biura pracy, który projekt federacyjny wręcz odrzuca, jako niebezpieczną konkurencję dla Ligi Narodów!! Rzecz jasna, że nowa ustawa celna Stanów Zjednoczonyoch stała się w prasie francuskiej znakomitym argumentem za koniecznością realizacji federacji Europy w interesie jej egzystencji gospodarczej.

Jakżeż na projekt federacji zapatruje się Watykan? Zdaniem „Osservatore Romano“ — „nie wydaje się, iżby obecne, tak znaczne różnice pomiędzy niektóremi państwami, jakoteż wręcz nienormalne położenie innych z pośród nich, stanowiły przeszkody, których nie możnaby usunąć. Doświadczenie uczy nas, że takie różnice nie przeszkadzają porozumieniu pomiędzy poszczególnemi państwami, oraz, że przez rozmowy przychodzi czasem do porozumienia. Nie widzimy, jaką szkodę mogłaby powodować w takich razach unja, po której słusznie spodziewać się można czegoś dobrego. Nie da się jednakże przeczyć, iż koniecznem jest pewne minimum poprawności międzynarodowej, by móc należeć do takiej federacji. Nie będziemy z pewnością należeć do tych, którzy boleją nad pewnymi stosunkami dyplomatycznymi i handlowymi

i lamentują nad wykluczeniem tych, którzy myślą tylko o burzeniu i nie są w stanie współpracować przy tej nowej i tak bardzo rozległej budowie, o której była powyżej mowa! Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż w planie unji europejskiej, o której marzył już Henryk IV temu trzy z górą wieki, wykluczaną z niej była właśnie Rosja wobec jej ekscentrycznego położenia i obcości dla prądów europejskich".

„Nie widzimy powodu, by jakieś wyłączenie, którego życzyliby sobie zresztą wszyscy, miało przeszkodzić urządzeniu i rozwojowi Europy, opartej na podwalinach, mogących trwać tysiące lat. Poważniejszym wydaje się nam ten argument, że „unja stałaby się zbędnym zupełnie dublowaniem Ligi Narodów".

„Nie wiemy oczywiście, w jaki sposób mogłaby nowa unja uniknąć zarzutu, iż stałaby się zbędnym duplikatem Ligi Narodów, gdyby wszystko ograniczało się do schematu, nakreślonego nad Sekwaną, lecz Briand chciał widocznie naszkicować tylko plan budynku, zaś nad jego budową powinna obecnie myśleć cała Europa. Unja z łatwością stanie się duplikatem, o ile nie będzie się miało odwagi rozszerzyć jej oddech przez zakreślenie jej zadań głębszych, a zarazem bardziej specyficznych, aniżeli to ma miejsce w Lidze Narodów. Tylko wówczas będzie Europa bardziej zjednoczoną, bardziej zgodną, bardziej świadomą swego światowego posłannictwa, wolną od zawiści i zarzewia niezgody również w czasie pokoju, bardziej czynną w nowych zdobyczach cywilizacji, więcej powagi zażywającą, o ile chodzi o jej działalność pacyfistyczną wśród narodów".

„Nie będzie to z pewnością Europa szkodliwa i niebezpieczna dla świata. Żadne państwo pozaeuropejskie nie może życzyć sobie Europy poróżnionej, zubożałej, upadają-

cej, tak samo i Stany Zjednoczone Ameryki, które w Europie posiadają zbyt dla swej intensywnej produkcji".

„Europa poróżniona wywołała wojnę światową, a Europa zjednoczona przyniesie — da Bóg — pokój światowy".

Opinja Watykanu wynika jasno z całego jego ustosunkowania się do organizacji międzynarodowych i zabezpieczenia pokoju. Już w r. 1817 Benedykt XV uznał, że „jednoczenie i wspólne zmniejszenie zbrojeń, według dokładnego planu i przy zachowaniu odpowiednich zabezpieczeń, aż do poziomu, który okazuje się koniecznym dla utrzymania porządku wewnątrz kraju"... oraz... „utworzenie trybunałów rozjemczych, według prawideł, które pozostają do omówienia i z oznaczeniem sankcji karnych, przeciwko każdemu państwu, któreby odmówiło..." są podstawowymi warunkami sprawiedliwego i trwałego pokoju. To też „Kodeks Społeczny" w art. 136 powiada, że „koncepcja bezwarunkowej suwerenności jednostkowej państwa jest zaprzeczeniem prawa międzynarodowego". Suwerenność zaś państw „musi być nietylko ograniczoną przez wzajemne poszanowanie narodowej godności, niezależności, własności bogactw narodowych i wynikającego stąd poszanowania życia, ale obejmuje również pojęcie wzajemnej życzliwości i pomocy, której żąda etyka społeczna". Do federacji europejskiej, jako organizacji regjonalnej w ramach Ligi Narodów, mutatis mutandis można zastosować następujący art. Kodeksu Społecznego, będący również dotychczas wytyczną polityki Watykanu wobec Genewy: „Idea nadania społeczności narodów formy stałej i rozumowo konsekwentnej jest dobrą i polecenia godną"..., zadaniem jej będzie „odbudowa zburzonego świata i obowiązek nadania teoretycznemu dotychczas prawu międzynarodowemu siły egzekucji... Ponieważ sprawy duchowe i doczesne są faktycznie nierozdzielnemi, więc też wszelki związek narodów musi mieć niezbędnie stosunki z Kościołem Katolickim". Katolicki zaś „międzynarodowy związek badań społecznych" w memorjale do Ligi Narodów, wypracowanym pod przewodnictwem ś. p. Kardy-

nała Mercier, potwierdza „braterstwo narodów“ i „wzajemną (ich) zależność... której istnieć muszą stosunki prawne“. Potępiając bezwzględnie wojnę, jako zbrodnię, memorjał „poleca wszystkim katolikom, by śledzili za kierunkiem prac i wspomagali dzieło Ligi Narodów“, której zasada „jest cząstką tradycji chrześcijańskiej, która znalazła już swe zastosowanie w Chrześcijaństwie wieków średnich i która została, wśród pamiętnych okoliczności, przypomniana przez Stolicę Apostolską“.

J a k i e ż  w i ę c  p o w i n n o  b y ć  w  t e j  s p r a w i e  n a s z e  s t a n o w i s k o ?

Wbrew zastrzeżeniom naszych nacjonalistów, utożsamaijących wszelką akcję międzynarodową i wszelki pacyfizm z „propagandą masońską“ i z „germanofilstwem“ (??!) i wierzących w nieuniknione prawo „krwi i żelaza“ w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych, powinniśmy względem idei federacji europejskiej stanąć całkowicie na gruncie zapatrywań Kościoła.

Przecież idea federacji gospodarczej, a nawet politycznej (przy zachowaniu suwerenności poszczególnych państw), jest nam, Polakom, już dlatego sympatyczna, że po pierwsze, jako katolicy, hołdujemy ideałowi braterstwa narodów w Chrystusie, a po drugie, czujemy się bardziej, niż ktokolwiek inny, obywatelami Europy, której przecież przez tyle wieków broniliśmy i bronimy właśnie w imię solidarności Chrześcijaństwa Rzymskiego i Zachodu przed najazdem wschodniego barbarzyństwa. Do tej niewdzięcznej Europy przez półtora wieku wyciągaliśmy bratnie ramiona w imię hasła „za naszą wolność i waszą“, jęcząc pod jarzmem największego wroga „zgniłego“ Zachodu. To prawda, że Paneuropa, bez winy jej twórcy hr. Coudenhove, jak tyle organizacji pacyfistycznych, zarażona jest wpływami masonerji i międzynarodowej finansjery żydowskiej; jest to jednak tylko, jak uczy przykład ks. Seipla, winą samych katolików, którzy, mając największe dane do przewodniczenia w światowym ruchu pacyfistycznym, tak łatwo ten naturalny pry-

mat dają sobie wyrywać i przyczyniają się w ten sposób do wypaczenia wzniosłej idei pacyfizmu na rzecz tendencji zakonspirowanych i prawdziwemu pokojowi wrogich.

Trudno w warunkach wznowienia wyścigu zbrojeń i fiaska rozbrojenia, wyraźnego prowokowania Polski do nowej wojny celnej przez nowy rząd Rzeszy, wzrostu niebezpiecznego ducha odwetu w Niemczech i otwartego apelu Berlina pod adresem Paryża w kierunku polubownego załatwienia „zagadnienia“ granic polsko-niemieckich (sic!), wierzyć w realizację Paneuropy. Mnożą się, niestety, znaki na niebie i na ziemi, że Niemcy pod osłoną pacyfizmu wszczynają nowy zaborczy „pochód na wschód“. Niech jednak historja nam nie zarzuci, że zmarnowaliśmy okazję przyczynienia się do realizacji pięknego ideału. Musimy jednak uzależnić jakikolwiek nasz udział w akcji paneuropejskiej (oczywiście bez zaniechania pogotowia wobec gróźb pod adresem naszego stanu posiadania) od przedwstępnego stwierdzenia ze strony wszystkich jej oficjalnych propagatorów, że przyszła federacja zagwarantuje nam nasze granice i możliwości naturalnego rozwoju gospodarczego, oraz pomyślana będzie tak, by Polska zaważyć mogła na jej losach całym ciężarem gatunkowym swojego mocarstwowego stanowiska i swojej misji dziejowej w Europie. Jednem słowem, propaganda paneuropejska winna wyraźnie dążyć do pogodzenia Niemiec z traktatowemi ich granicami (jak to zresztą lojalnie podkreśla sam Coudenhove i jak tego żąda Briand) i przekonania ich, że solidarność europejska wymaga przedewszystkiem ustanowienia warunków współżycia gospodarczego, nie dającego się pogodzić z „programem agrarnym“ według koncepcji obecnego rządu Rzeszy.

To właśnie, co Niemców w projekcie federacyjnym drażni, najbardziej nas do niego przekonywuje. To też z przekąsem pisze korespondent berlińskiej „Germanii“ na temat spotkania paryskiego pomiędzy ministrami Briandem a Zaleskim, że „Polska przyjmuje bezwzględnie memorjał Brianda w sprawie federacji europejskiej. Widzi ona w in-

terpretacji ustępu II (część 3b) możność nowych gwarancji granicznych, opartych na związku państw europejskich". „Niemcy jednak — przedstawiają sobie zupełnie inaczej organiczne zespolenie państw europejskich. Sprawa wchodzi w dziedzinę zagadnień politycznych, których ośrodkiem jest w ostatecznym rezultacie kwestja korytarza! Zgodność poglądów francuskiego i polskiego ministrów spraw zagranicznych nie ulega najmniejszej wątpliwości".

Nic dziwnego, że stanowisko Watykanu, z którem się całkowicie solidaryzujemy, wywołało istną burzę w Niemczech, której niestety daje również wyraz niemiecka prasa katolicka. „Artykuł pisma watykańskiego — pisze „Germania" — musi wywołać conajmniej (!) niezadowolenie"(!!). Watykan również, jak i Briand, dopuszcza się „nadużycia najświętszych podstaw". Watykan przyswaja sobie wszelkie machinacje (?), jakich Francja zwykła używać w prowadzeniu swej polityki zagranicznej. Watykan podaje rękę niebezpiecznej i oszukańczej polityce, która, tak jak traktat Wersalski, stanie się pewnego dnia mieczem, wymierzonym w Związek państw europejskich. „Watykan — pisze dziennik — i tym razem przeciwstawia się społeczeństwu włoskiemu (?), które słusznie postępowanie Papieża uważać będzie jako wdzieranie się w jego prawa narodowe (!!). Watykan próbował również skłonić niemiecką partję centrową do prowadzenia polityki, która byłaby zdradą (sic!) Niemiec wobec roli, do której powołane są Niemcy w Europie".

O ile możemy mieć zastrzeżenia w stosunku do federacji Europejskiej, to jedynie właśnie w kierunku — zgodnym, naszem zdaniem, z tezą memorjału francuskiego — uzależnienia wszelkiego rozbrojenia, a więc zarówno faktycznego, jak i gospodarczego, od stworzenia uprzednio warunków, całkowicie zabezpieczających nasze interesy. „W Polsce — powiedział ks. Janusz Radziwiłł — spotykamy niezmiernie wielu idealistów, politykę robią jednak ludzie realni. Pacyfizm głosi się wówczas, jeżeli z rachunku wychodzi, że to się opłaci. Jeżeli sprawa jest tak traktowana, iż mamy nasze

granice celne otworzyć państwom silniejszym, o potężnym przemyśle, któryby mógł nasz przemysł kompletnie zabić, a co zatem idzie, uszczęśliwić nas miljonami nowych bezrobotnych, to mamy dostateczne powody, by stanąć na tem stanowisku, że dobre jest rozbrojenie gospodarcze, ale nietylko w przemyśle, lecz także co do płodów rolnych".

„To jest stanowisko, które Polska zajmuje obecnie. Z chwilą, gdy nasz sąsiad zachodni skasuje swe zarządzenia co do stawek od produktów rolnych i zarządzenia, nie pozwalające na wywóz naszych produktów zwierzęcych, gdy Ameryka Północna skasuje swe zarządzenia prohibicyjne co do emigracji europejskiej, tak bardzo dotykające naszych najżywotniejszych interesów i gdy będzie również pewna równość co do rozchodzenia się w Europie kapitałów, to wówczas na ten temat możemy skutecznie mówić".

P. Briand jednak czyni swoje. Sądzi zapewne, że im więcej mówić się będzie o pokoju, im więcej będzie paktów i aktów pokojowych, tem bliżej będziemy się znajdowali realizacji tej idei, którą poczytuje za słuszną i dla całej ludzkości pożyteczną.

Może francuski mąż stanu ma rację. Może idea miłości bliźniego weźmie kiedyś górę nad zachłannością i nienawiścią. Na razie jednak dalecy jesteśmy jeszcze bardzo od tego momentu. Niemniej jednak Polska, oczywiście wierna swoim tradycjom wielowiekowej tarczy ochronnej Europy, uczyni wszystko, by dopomóc wielkiej naszej sojuszniczce w realizacji tego ideału. Wszak interesy nasze w obronie terytorjalnych podstaw pokoju są jednakowe!

C ó ż j e d n a k, j e ż e l i p r o j e k t f e d e r a c j i E u r o p y — j a k n a o g ó ł p r z e w i d u j ą — p o n i e s i e, n a r a z i e p r z y n a j m n i e j, f i a s k o ? Spotęguje się wówczas jeszcze ciężka sytuacja Europy pomiędzy „burzą od wschodu" a imperjalizmem gospodarczym Ameryki, który w razie pogłębienia porozumienia anglo-amerykańskiego i zwłaszcza na wypadek ewentualnej realizacji całkowicie odrębnej od Europy organizacji

gospodarczej całego Imperjum Brytyjskiego, stanie się potężnym imperjalizmem anglosaskim, wznawiającym w stosunku do Europy tradycyjną ongiś politykę wygrywania jednych przeciwko drugim (patrz dzieje subsydjowanych wojen kontynentalnych ostatnich stuleci), politykę, której nie zdołał pokonać Napoleon, a której kres położyło dopiero powstanie cesarskich Niemiec *). Polsce zaś pozostanie dotychczasowa jej polityka, polegająca z jednej strony na jaknajintensywniejszej współpracy z Ligą Narodów i na przodowaniu w ogólnym ruchu pacyfistycznym państw i narodów, co prasa zagraniczna stale z uznaniem podkreśla, z drugiej na jaknajusilniejszej rozbudowie systemu sojuszów gwarancyjnych i porozumień regjonalnych, mogących zabezpieczyć nasze interesy na wszelki wypadek w porozumieniu i w oparciu o współzainteresowanych.

Sądzę, że zasada uzgodnienia projektu federacji europejskiej z Ligą Narodów przez włączenie jej do paktu Ligi jako porozumienia regjonalnego, przez tenże pakt wyraźnie przewidzianego i zalecanego, powinna nam służyć jako przykład i wytyczna naszej polityki przy dalszej i nieuniknionej rozbudowie wspomnianego systemu sojuszów i porozumień. Przecież i federacja europejska po myśli Brianda bynajmniej nie miała wykluczać istnienia takich systemów regjonalnych wewnątrz federacji, na prawach analogicznych do stosunku federacji do Ligi, skoro jeden z najgorętszych propagatorów idei federacyjnej i Stanów Zjednoczonych Europy, b. minister Louchur, sam wystąpił z projektem, mającym wskrzesić rozerwany niefortunnie przez traktaty zwarty obszar gospodarczy b. monarchji austro-węgierskiej i pogodzić w ten sposób poważnione państwa sukcesyjne w postaci federacji naddunajskiej. Nie jest to ów projekt, ongiś forsowany jako przeciwwaga przeciwko „Anschlussowi“, lecz myśl kon-

---

*) Trzeba podkreślić znaczenie tego faktu. Wszak „bałkanizująca“ polityka Anglji dąży od niepamiętnych czasów do utrzymywania Europy w stanie rozdrobnienia, malkontentyzmu i wrzenia, a przez to i ciągłego osłabienia — na korzyść „arbitrów losów kontynentu“ z tamtej strony Kanału! (Przyp. Red.).

kretna najświeższej daty, której b. prezes konferencji dla odszkodowań wschodnich dawał wyraz tak w Paryżu, po pomyślnem zakończeniu jej obrad, jak i w czasie swojej niedawno odbytej podróży po Czechosłowacji, Austrji, Węgrzech, Jugosławji i Rumunji. Na Bałkanach zaś powstał niedawno projekt federacji państw bałkańskich, której służyć będzie kongres parlamentarzystów, zwołany w niedalekiej przyszłości do Aten. Włochy zaś, jak widzimy, po cichutku, poza Ligą Narodów i Paneuropą, tworzą sobie szeroką sieć porozumień i przyjaźni międzypaństwowych, opartą o wspólność interesów i przygotowującą dla nich pierwszorzędne stanowisko mocarstwowe, niemal hegemonję na Południowym Wschodzie Europy. (Najoryginalniejszą wydaje się coraz wyraźniej zarysowująca się koncepcja włoska — przeciwstawienia germanizmowi wału ochronnego przez — restytucję Habsburgów!).

Polska nie może w tym ogólnym wyścigu pozostać w tyle. Tak, jak przodujemy w pracy ogólnopokojowej, tak przodować winniśmy również i w mrówczej pracy paktów regjonalnych. Dużo już uczyniliśmy na tej drodze. Mamy — obok sojuszu z Francją — sojusz z Rumunją, przyjaźń z Węgrami, porozumienie z Czechosłowacją i Jugosławją, najbliższe stosunki z państwami bałtyckiemi oraz z Austrją i Bułgarją. Sieć porozumienia ciągnie się od Finlandji aż ku Salonikom. Uruchomiliśmy linję tranzytową od morza Bałtyckiego do Czarnego przez Gdynię i Gałacz. Zawieramy traktaty handlowe i arbitrażowe z wszystkimi europejskimi sąsiadami. Stajemy się ośrodkiem promieniowania politycznego i gospodarczego. Są to jednak tylko początki, dość może i skromne, jak na nasze mocarstwowe ambicje. Owa sieć porozumień winna się więc stać zalążkiem ogólnego paktu regjonalnego na wschodzie Europy, którego powinniśmy być pionierami. Nasza ekspansja pokojowa i gospodarcza wymaga dużego obszaru, grawitującego ku Polsce gospodarczo i politycznie, o wspólnych granicach gospodarczych i o wspólnym froncie politycznym na zewnątrz, opar-

tego o najściślejsze wzajemne układy współzainteresowanych w obronie swoich praw i swego stanu posiadania państw i narodów. Niech wrogowie nazwą to imperjalizmem — nam tylko chodzi o to, by, budząc bezwzględne zaufanie do naszej pokojowości i lojalności traktatowej, pogłębić i rozszerzyć istniejącą sieć naszych porozumień międzynarodowych, by móc naprawdę, zgodnie z naszą wielowiekową tradycją, pełnić naszą misję dziejową na wschodniej rubieży Chrześcijaństwa i Zachodu, a przez to samo stać się — ramię przy ramieniu z naszymi sojusznikami — potężnym i pożytecznym czynnikiem w dziele zabezpieczenia pokoju i pokojowego współzawodnictwa narodów w rozwoju gospodarczym świata. Rozumie się jednak samo przez się, że do należytego spełnienia tej roli musi być dostosowany cały nasz ustrój państwowy. Tak długo bowiem nie będziemy w stanie przeciwstawić się skutecznie wrogom zewnętrznym i zbudować wyżej wspomnianego związku regjonalnego państw o wspólnych z nami interesach, dopóki ustrój nasz opierać się będzie w swych podstawach konstytucyjnych i gospodarczych na „białym bolszewiźmie“, stworzonym przez długoletnie panowanie rozwichrzonej ideologji demagogicznej.

Wówczas nie przerazi nas ani ewentualne fiasco federacji europejskiej, ani „burza od wschodu“, ani odwetowe knowania germańskie, ani zaborczość gospodarcza czy polityczna zamorskiego świata anglosaskiego. Z silnym wszyscy będą musieli się liczyć. Na takich zaś podstawach może, zdaniem naszem, nawet i trwalsza wyróść z czasem federacja ogólno-europejska, aniżeli w fatalnych niestety dla tej idei warunkach obecnych, nazbyt zachłannie i krótkowzrocznie realistycznych, a przeto niechętnych wszelkim ideałom. Nie darmo znakomity publicysta angielski nazwał narody Europy „stadem kundli, wzajemnie na siebie warczących i sobie dokuczających, kiedy chmara wilków szykuje się na ich zagładę“.

**Adam Romer.**

---

## W walce z doktryną Marxa.

Obóz socjalistyczny, jak wiadomo, wyrósł na haśle walki klas, nieopatrznie sprowokowanej — trzeba to przyznać — krótkowzroczną polityką sfer gospodarczych w ubiegłem stuleciu, kiedy to zaprzepaszczono te możliwości, które tak znakomicie zrozumiano w Ameryce, a mianowicie konieczność równomiernego regulowania wzrostu dobrobytu tak po stronie pracodawczej, jak i po stronie pracobiorczej — w celu usunięcia z jednej strony nędzy, która bywa najgorszym doradcą, z drugiej zaś wzbudzenia zainteresowania robotników w powodzeniu przedsiębiorstwa, które stanowi przecież podstawę i ich egzystencji. Tymczasem na podłożu podziału stanowego w społeczeństwie europejskiem powstała — niemal równocześnie ze stron obu, pracodawców i pracobiorców — walka klasowa, polegająca na poszukiwaniu zysków doraźnych za wszelką cenę, w wykorzystaniu przymusowej sytuacji drugiego kontrahenta, którą następnie „genialny" Karol Marx ujął w karby specjalnej doktryny, pozostającej po dziś dzień ewangelją czerwonej międzynarodówki wszelakich odcieni.

Ta walka klas w najkrótszym czasie przerodziła się w bardziej jeszcze groteskową walkę pomiędzy producentem a konsumentem. Właściciele bowiem warsztatów produkcji, przegrywając pozycję po pozycji w „walce" z „pracą" (w której wywołaniu, jak stwierdziliśmy powyżej, sami nie są bez winy), zmuszeni do ciągłych ustępstw w kierunku zaspokajania coraz to dalej idących, często bezkrytycznych żądań materjalnych robotników, gnębieni przez coraz radykalniej demokratyzujący się ustrój parlamentarny o wyraźnej przewadze czynników demagogji klasowej, przez rujnu-

jące ustawodawstwo społeczne i podatkowe, uginając się pod narzucanymi im ciężarami — nie mają oczywiście innego wyjścia, jak przerzucenie nieuniknionego wzrostu kosztów produkcji — na konsumenta; ten zaś — biernie przypatrując się rozszalałej walce klasowej — zasłużoną ponosi karę za swoją bezwzględnie niedopuszczalną neutralność, względnie za swój wygodny oportunizm. Rozpoczęło się błędne koło podwyżek, ceny podskakiwały ustawicznie — aż wreszcie przyszło nieuniknione załamanie. Konsument przestał kupować, nie mając za co, producent znalazł się wobec nieopłacalności produkcji — robotnik zaś zaznał rozkoszy bezrobocia. Państwa, pozbawione swoich naturalnych dochodów wobec załamania się podatników, zmuszone do zastępowania bankrutującej inicjatywy prywatnej doraźnymi środkami ratunkowymi i etatyzmem i do utrzymania wzrastającej z dnia na dzień armji bezrobotnych, znalazłszy się wobec zaniku kapitałów prywatnych, wskutek spożywania substancji przez społeczeństwo w miejsce brakujących dochodów i wobec faktu sparaliżowania kapitalizacji przez socjalizujące ustawodawstwo, stanęły bezbronne w obliczu światowego przesilenia gospodarczego.

Wszędzie też zaczęto trąbić do odwrotu. We Włoszech przeciwstawiono marksizmowi ustrój korporacyjny, w Anglji kolaborację w przemyśle, w Polsce zaczęto głosić— bez realnych dotąd rezultatów — hasło solidaryzmu społecznego. We Francji nawet taki radykał, jak Herriot, nazwał walkę klas „wyświechtanym frazesem“. Wyrazem powszechnej reakcji w Europie przeciwko „walcowi socjalistycznemu“ stały się znamienne słowa, wypowiedziane na zebraniu przemysłowców przez generalnego dyrektora austrjackiego przemysłu hutniczego, p. Apolda, który poddał druzgocącej krytyce politykę gospodarczą i fiskalną swojego rządu (jak wiadomo, uważanego przez socjalistów za uosobienie reakcji) i samorządów, oskarżając je o nadmierne nakładanie ciężarów podatkowych i społecznych dla celów etatystycznej, rozrzutnej gospodarki, o unikanie, pod

pozorem nienaruszalności „zdobyczy ludu i postępu“, wszelkich reform w dziedzinie niszczycielskich „ubezpieczeń społecznych“. „Państwo i samorządy muszą ustąpić ze swoich roszczeń i dać życiu gospodarczemu wytchnąć“, oto kwintesencja jego wywodów, „inaczej marksizm urzeczywistni się poprostu wskutek całkowitego upadku prywatnej inicjatywy i prywatnych warsztatów pracy“!

W samo sedno zagadnienia uderzyć miał jednak dotychczas odwagę tylko rząd niemiecki. Współzależność płac, ciężarów i cen — tam tylko została całkowicie zrozumiana. Prace nad reformą podatkową i ubezpieczeniową są w pełnym toku. Przedewszystkiem zaś zadekretowano, na podstawie wyroku sądu rozjemczego, obniżenie z dniem 1 czerwca b. r. cen w przemyśle żelaznym o 10%, z dniem zaś 1 lipca redukcję płac urzędniczych i robotniczych o 7½%. Obniżenie płac ma być stosowane w bardzo różnych rozmiarach, zależnie od kategorji pracowników. Płace dyrektorów i urzędników wyższych ulegną redukcji maksymalnej, dochodzącej niekiedy nawet do 35%. Zarządzenie to, które jest dopiero początkiem planowej akcji, zakrojonej na najszerszą skalę, wywołało wybuchy złości w prasie czerwonej obu odcieni — amsterdamskiego i moskiewskiego — która pozornie nie wierzy w obniżenie tą drogą kosztów utrzymania i obawia się zmniejszenia siły kupczej wielkiej masy, co ujemnie mogłoby wpłynąć na całe życie gospodarcze Niemiec.

Socjaliści nie mogą zrozumieć tej prostej prawdy, że dobrobyt robotników nie może być okupiony bankructwem wytwórczości prywatnej, a wręcz przeciwnie, że może być właśnie tylko naturalnym skutkiem dobrobytu warsztatów produkcji prywatnej, której państwo, żyjące z kieszeni podatnika, nigdy skutecznie nie zastąpi. Dlatego też — w interesie samych robotników — walka musi być prowadzona bez pardonu i kompromisu, aż do całkowitego powrotu życia gospodarczego na tory naturalnego rozwoju i równowagi, dyktowanej odwiecznymi, nienaruszalnymi kanonami.

Dlatego też niemieckie sfery zachowawcze i gospodarcze zrozumiały, że dalsza współpraca polityczna z przedstawicielami doktryny Marksa jest niemożliwa.

U nas tego jeszcze nie zrozumiano. Przykład: współpraca „obozu narodowego“ z socjalistami-rewolucjonistami! My — jak uważamy socjalistów za mimowolne narzędzie w ręku komuny, do której stanowią pomost naturalny — tak nie widzimy różnicy pomiędzy teorjami pp. Daszyńskiego a Moraczewskiego. Marksizm jako całość — oto wróg! Dopóki tego nie zrozumiemy, cały wysiłek naprawy Rzeczypospolitej będzie zmarnowany.

Nie można przez Belzebuba wypędzać czartów! Rozumie to już cała cywilizowana Europa, która też — za wyjątkiem resztek socjalistycznego eksperymentu angielskiego — coraz bardziej odseparowuje się od socjalizmu, dopatrzywszy się w nim nareszcie (i słusznie!) głównego źródła nowoczesnego kryzysu i wywrotu. Tylko w Polsce jeszcze pseudopatrjotyzm naszych Pepeesów i Bebeesów mami umysły tak dalece, że łudzą się nadzieją wyciągnięcia z nich jednak pewnych walorów państwowo-twórczych!!

A przecież dwom panom służyć szczerze nie można — międzynarodówce i ojczyźnie!

## Wskrzeszenie Austro-Węgier?

Jednym z głównych skutków wielkiej wojny stała się całkowita „likwidacja“ monarchji austro-węgierskiej. W danych warunkach stała się ona nieuniknioną. Już długo przed wojną światową ewolucja wewnętrzna starej monarchji staczała się coraz wyraźniej w kierunku wyzwolenia krajów i narodów, w skład jej wchodzących, z pod supremacji wiedeńskiej, tak, że koniec fatalny był do przewidzenia. Niemniej stwierdzić należy, że gdyby kierownicy polityki wiedeńskiej w porę byli zrozumieli całą grozę położenia — sytuacja byłaby do uratowania.

Rozumiał ją niewątpliwie arcyksiąże, następca tronu, Franciszek Ferdynand, który miał gotowy konkretny projekt przeistoczenia monarchji w wielką federację państw o wspólnej dynastji, wspólnej polityce zagranicznej oraz wspólnym organiźmie gospodarczym. Śmierć skrytobójcza w Serajewie przecięła te marzenia. Odżyły one w czasie wojny światowej, kiedy światlejsi politycy rzucili hasło stworzenia pod berłem Habsburgów wielkiej federacji, w której ramach zmieściłaby się i zmartwychwstała Polska i Jugosławja, a nawet, według niektórych, zjednoczona Rumunja. Proklamacja niepodległości narodów przez cesarza Karola przyszła już jednak zapóźno. Rzecz jasna, że główną przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia tych planów federacyjnych był sojusz z Niemcami, dla których monarchja austrjacka miała być li tylko narzędziem dla oddawania na usługi imperjalizmu wielkoniemieckiego wielomiljonowego żeru armatniego w postaci — „kochanych ludów“ c. i k. monarchji.

To też losy Austrji były przesądzone z chwilą utożsamienia się wielkoaustrjaków z wszechniemcami i ostatecznego zerwania Wiednia z tradycjami prezciwpruskiemi i zachodniemi, oraz z całą polityką t. zw. austroslawizmu, jednem słowem z chwilą, kiedy wszechniemcy przestali być w Austrji irredentą a stali się partją państwowo-twórczą. Podeptane prawo narodów okazało się w swojej reakcji wówczas silniejszem od względów zachowawczo-państwowych i przedewszystkiem gospodarczych, które tak długo skłaniały poszczególne organizmy narodowe do taktyki ewolucyjnej i do niezrywania gwałtownego tylowiekowych węzłów. Niemniej spostrzeżono się wkrótce, że wprawdzie łatwo było w traktatach pokojowych kilkoma pociągnięciami pióra obrócić w niwecz polityczne fundamenty, które przetrwały tyle wieków, że natomiast nie można było powstrzymać fatalnych skutków destrukcji zwartego organizmu gospodarczego, który według nowych granic politycznych podzielić się nie dał. Powstały znane katastrofalne

przesilenia gospodarcze Austrji i niewiele mniejsze Węgier, które tylko finansową interwencją Ligi Narodów dały się zażegnać, wynikły po dziś dzień trwające trudności ekonomiczne pozostałych państw sukcesyjnych. Stworzenie małej Ententy nic na to nie pomogło, gdyż z przyczyn politycznych nie mogła i nie chciała ona objąć ani Austrji, ani Węgier, nie dochodząc, pomimo wielu usiłowań, do faktycznego zcementowania gospodarczego z powodu rozbieżności interesów poszczególnych jej partnerów. Nie udała się lansowana tak długo i uporczywie przez p. Benesza koncepcja federacji naddunajskiej jako związku gospodarczego, gdyż znane wzajemne spory i rywalizacje pomiędzy państwami małej Ententy a Węgrami i Austrją uniemożliwiły wszelkie porozumienie. Mimo ciężkiej sytuacji gospodarczej, tak w Austrji, jak i w Węgrzech przeważały względy polityczne, przemawiające przeciw jakiemukolwiek wiązaniu sobie rąk przed wymarzoną chwilą rewizji traktatów, względnie przyłączenia do Niemiec. Uczucie doznanej krzywdy i silne postanowienie jej powetowania przeważały nad wszelkimi względami, najbardziej nawet imperatywnymi, na ciężką sytuację ekonomiczną.

Po uregulowaniu najdrażliwszego sporu materjalnego pomiędzy Małą Ententą a Węgrami i Austrją przez układ paryski o t. zw. odszkodowaniach wschodnich, odżyła myśl federacji naddunajskiej, jako jedynego skutecznego remedjum na niezdolność państw sukcesyjnych do samodzielnego bytowania gospodarczego w zbyt ciasnych jak na współczesne warunki granicach, oraz jedynego sposobu przywrócenia światu zbyt pohopnie zniszczonej przez traktaty takiej zwartej struktury gospodarczej, jaką były Austro-Węgry. Rzuconą została ta myśl ponownie przez b. ministra francuskiego i prezesa konferencji paryskiej p. Loucheura, tak w licznych wywiadach prasowych, jak i w czasie ostatniego jego objazdu stolic państw sukcesyjnych. Nie można powiedzieć, by rozmowy jego, prowadzone kolejno w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, Bukareszcie i Białogrodzie, dały jakieś kon-

kretne rezultaty; plan jego — utworzenia regjonalnego porozumienia środkowo-europejskiego w ramach federacji europejskiej, projektowanej przez p. Brianda — zbyt widocznie przypomina państwom Małej Ententy, a zwłaszcza Czechosłowacji, Austro-Węgry, by chciały — nawet pod parciem konieczności gospodarczej — zdecydować się pójść we wskazanym kierunku.

Zresztą — zdaniem naszem — już jest na takie rozwiązanie sprawy zapóźno, ubiegły bowiem federację naddunajską Włochy inną zupełnie, zakonspirowaną mocno, lecz niemniej dość już ujawnioną koncepcją reorganizacji Europy Środkowej na podstawach — „sprawiedliwości". Zbliżenie, dokonywane w ciągu ostatnich lat pomiędzy Włochami a Węgrami, Austrją, Bułgarją, Albanją, Grecją i Turcją, a więc przeważnie państwami zwyciężonemi, poparte szeregiem traktatów, choć bez wyraźnych przymierzy (za wyjątkiem zupełnie opanowanej przez Włochy Albanji), stworzyło już zarys przyszłego bloku państw Europy południowo-środkowej. Równocześnie żądali Mussolini i Grandi dostosowania traktatów pokojowych do realnych wymagań chwili i to w interesie wzmocnienia ich autorytetu i powagi; dalej jeszcze idą wywody ministra Giurati, który wręcz odrzuca utrwalenie pokoju na podstawie obowiązujących traktatów, nazywając je dziełem „niesprawiedliwości i przemocy". Mowy te, które tyle niepokoju wywołały we Francji, bardzo wyraźnie wskazały, zestawione z wojowniczemi wynurzeniami Mussoliniego, na gotowość Włoch do poparcia ewentualnie siłą ich woli. Ostatnia wizyta p. Grandiego w Warszawie rozprószyła zaś wszelkie obawy, tak skrzętnie szerzone przez Niemców, jakoby stanowisko Włoch w sprawie traktatów w czemkolwiek mogło być sprzecznem z interesami Polski, a więc sprzyjało aspiracjom rewizyjnym i rewindykacyjnym Niemiec. O cóż więc chodzi Włochom?

Odpowiedź dały nam przedewszystkiem manifestacje węgierskie, w 10 rocznicę traktatu w Trianon, za koniecznością jego rewizji. Zaś arcyksiąże Albrecht, dotychczaso-

wy kandydat na tron węgierski, niespodzianie złożył hołd arcyksięciu Ottonowi, najstarszemu, wkrótce już pełnoletniemu synowi cesarza Karola. Arcyksiążę Otton używa oficjalnie tytułu „cesarza i króla“. Otóż całą prasę zagraniczną obiegła niedawno pogłoska, nigdzie nie zdementowana, że arcyksiążę Otton, na zasadzie tajnego układu pomięozy Włochami a Węgrami, ma być wkrótce uznany jako król Węgier i poślubić ma ks. Marję Sabaudzką, najmłodszą córkę króla włoskiego. Jako potwierdzenie tej pogłoski uważano — nic dziwnego — wizytę, złożoną cesarzowej wdowie Zycie przez włoskiego następcę tronu, ks. Humberta, w czasie jego pobytu w Belgji, gdzie, jak wiadomo, zaręczył się z obecną swoją małżonką, córką królestwa belgijskich.

Równocześnie ogromnie wzmogły się w Austrji wpływy włoskie. „Heimwehr“ całkowicie jest zorganizowaną na wzór włoskich faszystów, których nawet przyjęła formę ukłonu, oraz proklamowała otwarcie dążenie do „zagarnięcia władzy w państwie“, do czego zobowiązała swoich członków uroczystą przysięgą. Pod wpływem oficerów i urzędników b. cesarstwa z ks. Starhembergiem na czele, ruch heimwehr'owy całkowicie odgrodził się od hasła wszechniemieckiego — „Anschlussu“ za wszelką cenę — i coraz bardziej podpada pod tendencje monarchizujące, wciągając w nie i potężne stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, zawsze wierne tradycjom Habsburgów. Nie darmo oficerowie armji regularnej, ks. Seipel i członkowie Heimwehry wzięli demonstracyjny udział w pogrzebie arcyksięcia Karola Rainera, zgodnie z tradycyjnym ceremonjałem, w podziemiach Kościoła Kapucynów. Oficjalni zaś monarchiści austrjaccy ogłosili odezwę, żądającą ponownego połączenia Austrji z Węgrami w chwili wstąpienia tam na tron arcyksięcia Ottona. To też wyłącznie względy monarchistyczne, a nie wszechniemieckie, jak przypuszczano, skłaniają Heimwehrę do utrzymywania bliskiego kontaktu z bawarskiemi bojówkami nacjonalistycznemi, popierającemi restaurację tam znowu tronu Wittelsbachów. Pobyt kanclerza

Schobera w Rzymie demonstracyjnie zamanifestował poparcie Włoch dla Austrji przed całym światem.

Skoro więc Włochom w kampanji przeciwtraktatowej nie może chodzić o Niemcy, pozostają jedynie Węgry, Austrja i Bułgarja. Co się tyczy Bułgarji, która zresztą hasła rewizji traktatu w Neuilly głośno nie wysuwa, to istotnie cieszy się ona bardzo wyraźnymi względami i poparciem dyplomacji włoskiej, czego już tylokrotnie mieliśmy dowody. Tylko względy wyznaniowe nie dopuściły do połączenia węzłem małżeńskim króla Borysa z księżniczką włoską. Aspiracje Bułgarji do Macedonji znajdują życzliwe echo w prasie włoskiej. Nic dziwnego. Są one skierowane przeciwko tej samej Jugosławji, z którą Włochy mają porachunki, wyrażając, niedwuznaczne acz nieoficjalne, od czasu do czasu pretensje do portów dalmatyńskich. Spór zaś włosko-jugosłowiański jest z racji sojuszu równocześnie sporem włosko-francuskim. Włosi są pod tym względem szczersi od Niemców, którzy chcieliby pogodzić przyjaźń niemiecko-francuską z najazdem „pokojowym“ na nasze granice wschodnie.

Zupełnie wyraźnie i bez żadnych obsłonek występują natomiast włoskie pretensje do „niesprawiedliwości traktatów“ w stosunku do Węgier. Rzymskie podróże hr. Bethlena i arcyks. Albrechta, oraz budapeszteńskie ministrów włoskich dały niewątpliwie wyniki, daleko wykraczające poza ramy oficjalnie zawartej umowy przyjaźni. Poparcie Włoch dla żądań węgierskich było w Hadze i Paryżu manifestacyjne. Przyjaźnią tą zaniepokoiła się cała Ententa, której prasa pełna jest pretensji na tem tle do Włoch. Najbardziej zaś prasa Czechosłowacji, gdzie ostatnio wódz nacjonalistów czeskich, p. Kramarz, przy akompanjamencie prasy, zagroził w parlamencie Węgrom wojną w razie restauracji Habsburgów, oraz Włochom na wypadek, gdyby Węgrów chciały podtrzymać. Nie ulega już jednak prawie wątpliwości, że Czechosłowacja pozostałaby odosobnioną w swoim proteście w razie dokonania restauracji na Węgrzech. Powrót króla

Karola do Rumunji nie utrudni jej desinteressement w tym względzie; to samo tyczy się Jugosławji. Przyjaźń zaś włosko-austrjacka została ponownie manifestacyjnie podkreślona ostatnią wizytą ministra Grandiego w Wiedniu.

Sytuacja Polski w całym tym splocie konfliktów nie jest łatwa. Nie może on nam w żaden sposób być obojętnym. Wskrzeszenie naszego państwa, acz moralnie przekreślające bezprawie rozbiorów, niemniej prawnie oparte jest o traktaty w Wersalu i St. Germain. To też sprzyjaniem rewizji innych traktatów nie możemy dać broni do ręki wrogom traktatów, interesujących nas bezpośrednio. Jesteśmy sprzymierzeńcami Francji i Rumunji. Niemniej czujemy się bardzo blisko związani węzłami tradycyjnej przyjaźni tak z Włochami, którym tyle zawdzięczamy w czasie wojny, jak i z Węgrami, z którymi nas łączą tysiącletnie tradycje. Zwłaszcza walki wolnościowe 1848 r. nierozerwalnie połączyły Węgrów, Włochów i Polaków, co powtórzyło się znów w 1863 r. Przypomniał nam te sławne wspólne dzieje niedawno hr. Klebelsberg w swoim pięknym odczycie, wygłoszonym w Warszawie. Uznajemy również znaczenie lettre d'envoi p. Milleranda, dające Węgrom pewną podstawę do żądania rewizji granic obecnych.

Stojąc na gruncie suwerenności narodowej, nie mieszamy się w niczem do spraw ustrojowych i dynastycznych na Węgrzech i w Austrji, przychylnie witając zgóry wspólne czy oddzielne ich decyzje w danych kierunkach. Wiemy, że Węgry nadzieje swoje wiążą z wiarą w presję moralną, zbyt srodze bowiem wojną były doświadczone; nie wierzymy również ani na chwilę, by mocarstwowa krasomówczość Mussoliniego dążyła do zbrojnej rozprawy o cele polityki włoskiej. Tembardziej musimy się przeciwstawić groźbom wojennym, jako środkowi presji z innych stron w stosunku do suwerennych praw kogokolwiek. To też pokojowa polityka Polski, sojuszniczki traktatowej Francji i Rumunji, a moralnej Włoch i Węgier, przyjaciółki państw małej Ententy i Bałtyckich, ma nielada pole do popisu.

Zresztą dla należytego zorjentowania się, w jakim kierunku ewolucja dziejowa w środkowej Europie zdaje się zmierzać, najlepiej będzie przeczytać to, co prasa niemiecka wypisuje na temat możliwości restauracji Habsburgów — a oczywiście przedewszystkiem to, co pisze „między wierszami“. Zaniepokojenie zupełnie jest wyraźne. Nic dziwnego. Niemcy bowiem, w przeciwieństwie do Czechów, zdają sobie dokładnie sprawę, że wejście Węgier w skład bloku, obejmującego Włochy, a może i Polskę, stanowiłoby ni mniej ni więcej tylko przeciwstawienie imperjalistycznej ekspansji niemieckiej zwartej barjery od południa, zagradzającej jej przedewszystkiem upragnioną drogę na Bałkany. Tem gorzej więc dla Niemiec, o ileby restauracja Habsburgów na Węgrzech miała doprowadzić do ponownego połączenia Austrji z Węgrami, w tej czy innej formie (w oparciu o Włochy czyli w nowem trójprzymierzu), co byłoby oczywiście równoznacznem z przekreśleniem przyłączenia Austrji do Niemiec, stanowiącego jeden z zasadniczych postulatów wszechniemieckich, którego realizację Niemcy wyobrażali sobie w najbliższej już przyszłości (zaraz po „załatwieniu zagadnienia“ granic polsko-niemieckich!). Ten też wzgląd powinien skłonić Czechosłowację do rewizji dotychczasowego jej stanowiska względem Węgier i restauracji Habsburgów, jeżeli nie zechce, by zarysowujący się blok południowy powstał przeciwko niej. *Wówczas bowiem Czechosłowacja znalazłaby się odosobniona wobec dwuch wrogich, aczkolwiek przeciwstawnych sobie wzajemnie obozów, z których jeden, Niemcy, dążyłby do wywołania w Czechosłowacji irredenty całego zwartego terytorjum Czech niemieckich o trzech miljonach mieszkańców, drugi zaś, Węgry, zmierzałby w kierunku rewindykacji Rusi Węgierskiej i (chociażby częściowo) Słowaczyzny,*

o pograniczach, również zamieszkałych przez zwartą mniejszość węgierską. Oczywiście decyzja w tym względzie należeć musi wyłącznie do Pragi.

Idziemy zatem niewątpliwie ku zupełnie nowemu układowi sił w środkowej Europie, w którym Niemcy mogą, dzięki upartemu ich trwaniu w beznadziejnem rewindykowaniu odwiecznie polskiego Pomorza, stracić te atuty, którymi rozporządzali niewątpliwie dotychczas po wojnie wobec ruchu wszechniemieckiego w Austrji, opartego o słuszne w zasadzie prawo samostanowienia narodów. Mała Ententa zaś może się znaleźć z dnia na dzień wobec wskrzeszenia Austro-Węgier, któremu zawczasu utworzeniem federacji naddunajskiej, chociażby kosztem integralności traktatu w Trianon, nie zdołała zapobiec. Byłoby to ostatecznem przekreśleniem jej racji bytu. Ma też, zdaje się, słuszność rumuński minister spraw zagranicznych p. Mironescu, kiedy uważa, że „przyszła w Europie z powrotem moda na monarchje, względnie ustroje monarchizujące i arystokratyzujące (rządy elity)“, w nieuniknionym wyniku wzrastającego rozczarowania i niechęci społeczeństw do przestarzałych form parlamentarnego liberalizmu i demokratyzmu, nie dających się zupełnie pogodzić z współczesnemi wymaganiami bytu państw i narodów. Okazuje się również, że ewolucja dziejowa nie znosi skoków, i że, po załamaniu się w wyniku wojny struktury politycznej Europy, należy, w celu umożliwienia właściwej ewolucji mniej licznych narodów w kierunku skrystalizowania się i zcementowania struktury, wytworzonej traktatami pokojowymi, nawiązać z powrotem — częściowo przynajmniej — do przerwanych nici tradycji, wytworzonych kilkowiekowem, wspólnem tych narodów, bytowaniem.

---

